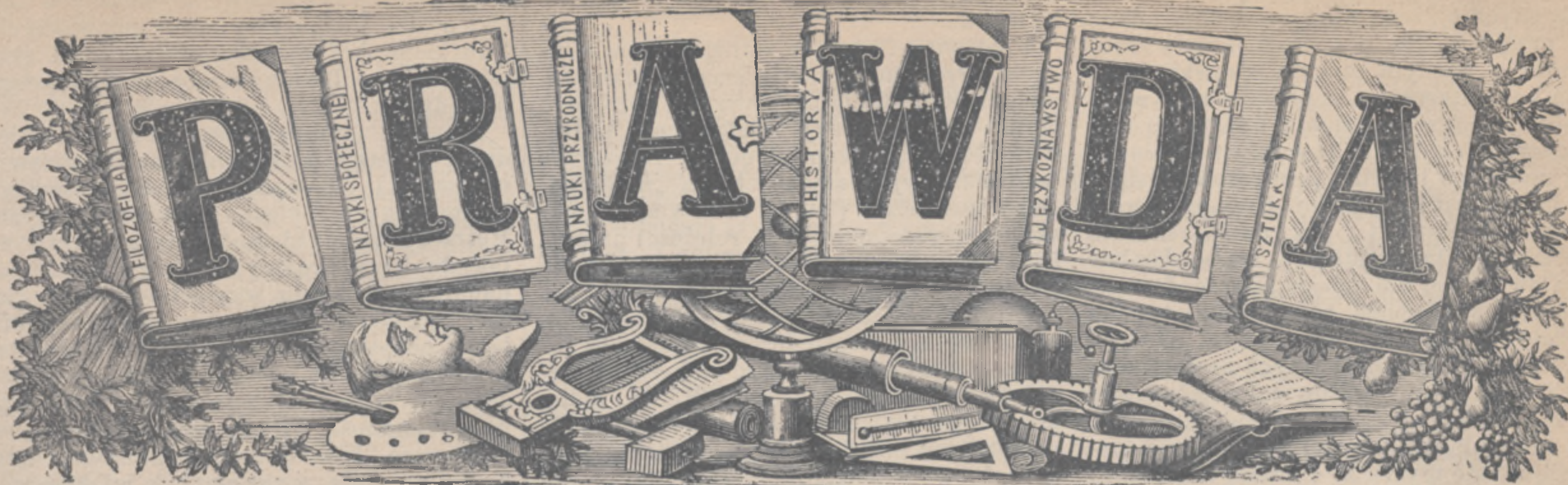
№ 49. Warszawa, dnia 6 Grudnia (24 Listopada) 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Chcąc zapobiedz wyczerpaniu się pierwszych zeszytów dodatku, prosimy szan. abonentów o wczesne nadsyłanie przedpłaty na rok przyszły, ażebyśmy mogli obliczyć i przygotować potrzebną ilość egzemplarzy.

SZPICRUTA LUDWIKA XIV.

Zdanie Montesquieugo, że każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje — nigdy podobno nie dało się stosować z większą słusznością, jak do zatargów parlamentu niemieckiego z księciem Bismarkiem. Bo trudno posunąć dalej lekceważenie... niemal wstręt. Kto czyta stale sprawozdania sejmowe berlińskie, ten tylko może mieć wyobrażenie o wzgardliwym tonie i języku wielkiego kanclerza w rozprawach z przedstawicielami narodu. To nie spory, a tem mniej wykłady zamiarów rządowych, ale ostre wyrzuty, łajanki, napomnienia nauczyciela, który zebrawszy w klasie niesfornych uczniów, karci ich surowo i grozi. Niema na świecie parlamentu, któryby był tak ograniczony i mimo Richterów oraz Windhorstów pokorny, któryby pozwolił tak się ubezwładniać i poniewierać. Kiedyś zachciało się jednemu z posłów jagódek — wiadomości o zewnętrznej polityce państwa. I owszem — rzekł Bismark — pan ten może zadowolić swoją ciekawość w *archiwum* ministra spraw zagranicznych. Gdy innym razem przerwano kanclerzowi mowę, zbiegł on z trybuny i krzyknął: Przestańcie panowie wydawać *nieartykułowane* głosy (niby małpy w lasach), które mnie nie straszą. Kto się odezwał? Proszę wymienić nazwisko!— Na to obelżywe wyzwanie Izba odpowiedziała... grobową ciszą. Niedawno znowu pewna część posłów rozśmiała się. Ach — zawołał kanclerz — jak ja się z was śmieję, gdy w domu o was myślę! Żaki również umilkli. Nareszcie w zeszłym tygodniu, gdy opozycya skarżyła się, że wszechwładny pan nie szanuje jej woli, która powinna być dla niego obowiązującą, odparł szyderczo: Mnie nie imponuje cała Europa, a wy chcecie imponować?

Takiej ironii już dawno nie słyszała „cała Europa." Był to może pierwszy szczery wybuch dumy i samowiednej siły człowieka, który dziś rozpościera straszną grozę w świecie. Dotąd ks. Bismark, widząc, czem jest, udawał skromnego, nazywał się tylko: „kolegą" innych ministrów, „urzędnikiem jedynie odpowiedzialnym," „uczciwym meklerem," wreszcie „parobkiem swego pana" (cesarza). Teraz wyprostował się całą wysokością, podniósł czoło i rzucił Europie dumne słowo swej potęgi. Waga tego słowa obliczona była przedewszystkiem na skutek miejscowy i rzeczywiście przygniotła najoporniejszych przedstawicieli narodu, którzy uczuli się robakami wobec olbrzyma. Każdy mimowoli szeptał sobie w duszy: ja mam go trwożyć, kiedy on się nie boi całej Europy?

Z innego jeszcze względu było to słusznem. Co gazety piszą o „niepomyślnym" dla ks. Bismarka rezultacie sejmowych wyborów, to jest tylko czcza gadanina, jeśli wychodzi po za granice jego uczuć. Istotnie, życzy on sobie wzrostu pewnych, a upadku innych żywiołów, ale wszelki ich skład może co najwyżej stawiać mu przeszkody, ale nigdy nie wywrze nacisku. Ma on bowiem do unieważnienia uchwał jednego sejmu Radę związkową, a drugiego — Izbę panów, gdzie panuje wszechmocnie.

Część t. z. ustaw majowych została już dawno zniesiona przez parlament pruski, a mimo to zachowuje ona dotąd swą siłę. Podobnie parlament niemiecki znaczną większością ustanowił dyety dla posłów (umożliwiając działalność polityczną ludziom niezamożnym), ale i to znowu jest *vana ira sine viribus*. Jeżeli zaś ks. Bismark jeszcze się gniewa na podobne uchwały, to tylko dlatego, że nie znosi oporu nawet bezskutecznego, że go gniewa nawet chęć przeciwna, że wpadł w stan drażliwej i autokratycznej starości, która wymaga bezwzględnej służby. Kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie, a *więc* przeciwko cesarzowi, narodowi, państwu — oto jego wniosek, powtarzany w niezliczonych odmianach.

Wszystkie prawie stronnictwa przeszły kolejno przez chłostę oskarżenia o „republikanizm," o „nieprzyjaźń dla państwa," w miarę tego, czy szły za kanclerzem, czy przeciw niemu. Zapędza on się w tym kierunku tak dalece, że nie zdziwiłby nas wcale telegraf, gdyby pewnego dnia doniósł, że w jednym z parlamentów niemieckich wystąpiła szpicruta Ludwika XIV. Bo już *l'état c'est moi* wygłoszono.

Gazety zagraniczne nie uwiadomiły nas wcale, jakie wrażenie wywołały słowa kanclerza niemieckiego o nieimpozycyi „całej Europy." Czyżby ona połknęła spokojnie tę pigułkę? Czy już przyzwyczaiła się tak do sarkazmów swego pogromcy, że one jej nie rażą? Albo może to wszystko jest prawda? W każdym razie ciekawy i niewesoły widok przedstawia owa „cała Europa" — dumą i godnością nie grzeszy.

OBRADY PRZEMYSŁOWE.

Młode Towarzystwo popierania przemysłu i handlu objawia niesłabnącą bynajmniej ruchliwość. Prawda, że ruchliwość ta występuje najwięcej w sferze projek-

tów, których znaczna część po za granice „pobożnych życzeń“ nigdy prawdopodobnie nie przejdzie. Są pesymiści, którzy wiadomość o każdym nowym wniosku opatrują komentarzem: „nie będzie z tej mąki chleba;“ ale trzeba wziąć w uwagę, że wypiek owego chleba do Towarzystwa nie należy może ono jedynie przygotować odpowiedniego gatunku mąkę. Przygotowywa ją też, jak może i... jak umie. Zresztą w przeciągu tak krótkiego czasu działalności owoce jej nie mogły jeszcze dojrzeć, zwłaszcza w klimacie, niesprzyjającym ich wzrostowi. Któż nie wie, że w naszych warunkach... atmosferycznych zanim kwiat myśli płód wyda, wiele wody upływa do morza. Czekajmy przeto cierpliwie końca tego naturalnego procesu a tymczasem pocieszajmy się myślą, że z naszej mąki upiecze się przynajmniej mała bułeczka, którą głodny żołądek z przyjemnością pochłonie, chociaż, rozumie się, wolałby dobry bochenek chleba. Przyjęty obecnie system hygieny społecznej zaleca taką właśnie ścisłą dyetę z obawy przeładowania żołądka pacyentów, dla utrzymania ich jednak przy życiu od czasu do czasu karmi bułeczkami.

Ważniejsze wnioski Towarzystwa notowaliśmy w swoim czasie w *Prawdzie*, ostatnie posiedzenia przynoszą znowu sporą ich wiązkę.

Na wstępie zaznaczyć winniśmy, że Towarzystwo utożsamia nie raz interesy przemysłowców i przemysłu krajowego. Zależy to od składu osobistego jego członków. Przy ocenie więc doniosłości projektów dla dobrobytu ogólnego, trzeba tę okoliczność mieć na uwadze i w melodyi pięknie brzmiących frazesów wykryć i uwydatnić tę fałszywie dźwięczącą nutę.

Uwaga ta stosuje się przedewszystkiem do zamiaru obłożenia cłem sprowadzanych z zagranicy machin rolniczych. Na korzyść jego przemawia ta okoliczność, że żelazo i części składowe maszyn opłacają cło, podczas gdy maszyny całkowite są od niego zwolnione. Jest to dość dziwna anomalia, którą jednak w pospiesznie układanej, obowiązującej dziś taryfie celnej spotykamy dość często.

Na tę niekonsekwencyę zwrócił już uwagę minister skarbu i wniósł do Rady państwa projekt obłożenia maszyn cłem po 50 kop. od puda. Słusznie więc zauważył sprawozdawca *Gazety warszawskiej*, że wniosek p. Kiślańskiego jest jako inicyatywa spóźnionym a jako interwencya — niewłaściwym.

Pomijamy wszakże tę jego stronę i zaznaczamy samolubne zachcianki przedstawicieli kapitału ujawnione w przebiegu obrad. Przemysłowy Demostenes p. Dawid Rosenblum zaproponował rozszerzyć wniosek wyjednaniem cła na „małe machiny rolnicze“ (nazwa ta dowcipnie maskuje zwykłe narzędzia rolnicze) po kop. 50 od puda, na duże zaś 90 do 1 rs. kop. 65 od puda na równi z lokomobilami itp.

Gdyby projekt ten przyszedł do skutku, rolnictwo krajowe obłożone by zostało nowym podatkiem na rzecz nielicznej koteryi fabrykantów machin. Wobec małej przedsiębiorczości przemysłowej u nas cło protekcyjne podniosłoby ceny machin krajowych w odpowiednim stosunku do cen zagranicznych, a na dobrodziejstwa konkurencyi, ograniczonej jeszcze szczupłą liczbą współzawodników, nawet chyba p. Rosenblum w dobrej wierze nie liczy. Projektowana zaś podwyżka to nie fraszka, bo według własnych słów popierającego wniosek p. Kossutha dodatek 50 kop. wynosi 20% cen dotychczasowych, czyli, że maszyna, która dziś kosztuje 300 rs., przy tej opłacie kosztowałaby 360, a gdyby przyjęto myśl p. Rosenbluma — od 408 do 500.

Zmiana ta zaciężyłaby dotkliwie w budżecie wydatków melioracyjnych właścicieli ziemskich a obłożenie cłem narzędzi rolniczych, czyli jak p. Rosenblum delikatnie wyraża się „małych machin“ dotyczy nawet gospodarstw włościańskich, zwłaszcza w pasie granicznym, sprowadzających pługi itp. narzędzia z Prus.

Rolnictwo krajowe tyle brzemion dziś znosi, że niepodobna wymagać odeń ofiar za podźwignięcie pewnej gałęzi przemysłu. Wreszcie, chce czy nie chce ofiarę tę poniesie, bo, jak zaznaczyliśmy wyżej, minister skarbu dla usunięcia niekonsekwencyj taryfy cło 50-kopiejkowe wprowadzić zamierza; nie można jednak żądać, żeby płaciło po nad siły, żeby najuboższe warstwy narodu składały krwawym potem oblane grosze w interesie pomyślności p. p. fabrykantów machin.

Towarzystwo poprawkę p. Rosenbluma przyjęło.

Drugi natomiast wniosek p. Kiślańskiego posiada nie małe znaczenie dla dobrobytu kraju. Dotyczy on sprawy kolei żelaznych drugorzędnych, czyli wązko-torowych i ma na celu wyjednanie u rządu pewnych nie przywilejów, ale słusznych ułatwień dla inicyatywy osób prywatnych. Skutkiem braku czasu obrady nad tym wnioskiem odłożone zostały do następnego posiedzenia.

Bardziej sympatycznym był również drugi występ p. Rosenbluma w sprawie utworzenia Towarzystwa Kredytowego zjednoczonych miast prowincyonalnych. Potrzeby tego rodzaju kredytu i skutków, jakieby uruchomienie kapitałów na rozwój handlu i przemysłu wywarło—wykazywać nie będziemy. Pomimo, że istnieje cyrkularz, polecający zakładanie towarzystw kredytowych dla oddzielnych miast, p. Rosenblum sądzi, że powstanie instytucyi na wzajemności i zjednoczeniu opartej jest możliwem. Konieczność zjednoczenia, rozszerzająca siłę gwarancyj, a więc podnosząca kurs listów i wyższość instytucyj opartych na wzajemności nad akcyjnemi, jakie proponował p. Kirszrot, są tak widoczne, że zapewniły mówcy łatwy tryumf. Wniosek p. Rosenbluma, posiadający ogromną doniosłość i świetnie motywowany Towarzystwo przyjęło i rozpocznie w tej kwestyi starania u właściwych władz.

Poprzednio wspomnieliśmy o dziwnych anomaliach w taryfie celnej. Machiny rolnicze nie stanowią wyjątku, pokrewny wypadek zachodzi i z wyrobami litograficznymi, które są od opłaty celnej wolne, podczas gdy wszystkie materyały w litografii używane płacą wysokie cło wchodowe. Właściciele jednego z zakładów litograficznych wystąpili do Towarzystwa z odpowiednim wnioskiem, domagającym się obłożenia cłem sprowadzanych z zagranicy wyrobów. Propozycyę tę, na którą Towarzystwo się zgodziło, popierał również p. Rosenblum, przyczem oświadczył, że jest przeciw cłom protekcyjnym (a machiny rolnicze?!). Jeżeli jednak protekcya istnieje, powinna ona przedewszystkiem osłaniać i popierać pracę ludzką.

Trudno nie zgodzić się z tą słuszną uwagą, tak słuszną, że na uzasadnienie swoje nie potrzebuje ona bynajmniej fałszywego twierdzenia, iż „Ameryka trzyma się systemu wolnomyślnego.“ Bogowie! Czyż finansiści i przemysłowcy nasi, posiadają tak mało wiadomości o stosunkach zaatlantyckich?

Wniosek p. Lepperta dotyczy uwolnienia od akcyzy spirytusu, używanego do celów fabrycznych i przemysłowych; jedno-

---

Mohammed-Friponille

przez

Guy de Maupassanta.

— Może pójdziemy na dach pić kawę?— spytał kapitan.

— Bardzo chętnie — odpowiedziałem.

W sali mrok już zapadał. Po za wysokiemi, ostrołukowemi oknami zwieszały się rośliny z ogromnego tarasu, na którym zwykle spędzano gorące letnie wieczory. Na stole nic już nie pozostało, prócz olbrzymich afrykańskich owoców: winogron wielkich jak gruszki, miękkich fig fioletowych, żółtych gruszek, podłużnych bananów i daktyli w łyczkowym koszyku.

Maurytańczyk, który nam usługiwał do stołu, otworzył drzwi i weszliśmy na schody, słabo oświetlone z góry ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

Głęboko i z uczuciem błogości odetchnąłem, gdym wszedł na taras, skąd się roztaczał uroczy widok na Algier, przystań i dalekie wzgórza.

Dom, kupiony przez kapitana, był dawną siedzibą arabską, położoną w środku starego miasta, pomiędzy labiryntem uliczek i zaułków, gdzie się roi różnorodna ludność afrykańska.

Pod nami płaskie i czworograniaste dachy spuszczały się, jak olbrzymie wschody, aż ku dachom pochyłym europejskiej części miasta. Po za nimi ukazywały się maszty okrętów, stojących na kotwicy, a dalej — błękitne i spokojne morze, mające nad sobą niebo, także spokojne i błękitne.

Wyciągnęliśmy się na matach, głowy oparli na poduszkach i zwolna popijając wyśmienitą kawę, patrzyliśmy na ciemne sklepienie, posiane niewielką jeszcze ilością gwiazd.

Lekki, ciepły, rozkoszny wietrzyk przejmował mile cały nasz organizm i tylko czasem duszący, ciężki, prawdziwie afrykański powiew przypominał nam bliskie sąsiedztwo pustyni. Kapitan, leżąc na wznak, mówił rozmarzony:

— Co za kraj! jak słodko płynie w nim życie! jak nawet spoczynek ma tutaj coś odrębnego i zachwycającego! jak noce usposabiają do marzeń!

Ja, patrząc ciągle na świeżo ukazujące się gwiazdy i doznając uczucia jakiejś dziwnej szczęśliwości, szepnąłem:

— Mógłbyś mi opowiedzieć jaki ustęp z twojego życia w tej części świata.

Kapitan Marret był jednym z najdawniejszych żołnierzy armii afrykańskiej, dawniejszym spahom, który się dobił stopnia dzielnością swego oręża.

Dzięki jemu, jego przyjaźni, jego stosunkom, mogłem odbyć pyszną podróż po pustyni i dziś właśnie przyszedłem, by mu przed powrotem do Francyi wyrazić moją wdzięczność.

— Jakiego rodzaju opowieści chcesz ode mnie? — spytał. Podczas dwunastoletniej mojej bytności na gorących piaskach Afryki spotkało mnie tyle niezwykłych zdarzeń, że już o wszystkich zapomniałem.

— Powiedz mi co o kobietach arabskich— odparłem.

Nic nie odrzekł. Leżał wyciągnięty z rękami pod głową; chwilami czułem woń jego cygara, którego dym wśród tej cichej nocy unosił się prosto w górę.

Nagle zaczął się śmiać.

— Ach! tak, opowiem ci zabawne zdarzenie z pierwszych czasów mego pobytu w Algierze.

Mieliśmy w naszej armii typy niezwykłe, jakich się już dziś nie widzi i jakich już niema, typy, któreby cię zajęły do tego stopnia, żebyś patrząc na nie, pragnął spędzić całe życie w tym kraju.

Byłem prostym spahem, dwudziestoletnim, o włosach blond, zwinnym, silnym, zawadyackim, jak przystało na algierskiego żołnierza. Przyłączono mnie do wojen-

cześnie z tem dokonywaną być powinna t. z. denaturacya alkoholu, tj. uczynienie go płynem niezdatnym do picia. Wyrób octu, farb, eteru, chroralu wymaga znacznych ilości spirytusu, akcyza jednak przewyższa cło od takichże przetworów chemicznych sprowadzanych z zagranicy i czyni konkurencyę z nimi niemożliwą. Wniosek ten niema szerszego znaczenia, ze względu, że fabrykacya lakierów, politur i octu nie zużywa tak wielkiej ilości a przy fabrykacyi eteru dozwolone są pewne ulgi, o czem p. Leppert zdaje się nie wiedział. Denaturacya przedstawia zresztą znaczne trudności, które najłatwiej usunąć się dadzą w sposób proponowany przez p. Rosenbluma, tj. przez założenie specyalnych gorzelni, które wyrabiałyby tylko taki spirytus.

Projekt ten, jak również wniosek, żądający starania się u władz, żeby poczta przyjmowała posyłki na zaliczenie (*Nachnahme*) i wprowadziła t. z. *incasso*, t. j. ściąganie należności—zostały odłożone z powodu zbyt ogólnikowej redakcyi i dopiero w nowej, poprawionej formie poddane zostaną obradom.

Zakres działań Towarzystwa nie ogranicza się do pośredniczenia przed władzą, ale obejmuje wiele innych czynności. Jedną z najważniejszych jest zbieranie wiadomości o stanie przemysłu i handlu krajowego. W tym celu do wszystkich właścicieli fabryk i zakładów przemysłowych rozesłany został kwestyonaryusz tej treści: 1) nazwisko fabrykanta, czyli firma; 2) oznaczenie miejsca, gdzie się fabryka znajduje; 3) co produkuje; 4) skąd czerpie materyały surowe z oznaczeniem miejscowości lub krajów, oraz procentowego stosunku, w jakim w przybliżeniu zostają one do ogólnej ilości zużywanych materyałów; 5) co należy zrobić dla ułatwienia nabywania materyałów surowych; 6) jeżeli materyały są zagraniczne—to dlaczego nie krajowe; 7) gdzie zbywa produkt gotowy, z oznaczeniem w przybliżeniu stosunku procentowego zbytu do różnych miejscowości i krajów—licząc do ogólnej produkcyi fabryki; 8) jaka napotyka się obca konkurencya — o ile poważna i niebezpieczna; 9) co należy robić dla ułatwienia konkurencyi; 10) co należy robić dla ułatwienia warunków zbytu i rozszerzenia takowego; 11) uwagi rozmaite.

Pobieżność tego kwestyonarza walczy o lepsze z jednostronnością. Nawet dopełnienia p. Rosenbluma: czy robotnik jest krajowy, a jeżeli nie, to dlaczego — i p. Przystańskiego, dotyczące siły motorów, nie usuwają pierwszego zarzutu, jak nie tłomaczą go objaśnienia, że tylko na ogólnikowe zapytania można otrzymać prawdziwą odpowiedź. Bo jeżeli wiadomości nie na wiele się zdadzą, to nie warto wcale pytać. Ale jakie okoliczności usprawiedliwiają dziwną jednostronność? O robotnikach fabrycznych ani słowa. Czyż zbadanie ich położenia, bodajby skonstatowanie ich ilości nie leży w interesie *przemysłu polskiego?*

Tak, ale widocznie bliższe poznanie stanu rzeczy sprzeciwia się interesom pp. *przemysłowców polskich* (polskich, bo z polskiej pracy żyją). Wartoby jednak zapuścić statystyczną sondę w te niezbadane obszary, chociażby wyciągnęła ona same fałsze, warto z tej racyi, żeby społeczeństwo dowiedziało się dokładnie, kogo Towarzystwo popierać zamierza: przemysłowców, czy przemysł? Bo teraz, doprawdy, często nie wiemy.

L.

Finanse Rosyi *).

Do niedawnego jeszcze czasu wszelkie wiadomości o stanie skarbu Rosyi były rzeczą dla ogółu całkiem niedostępną. Duch biurokratyzmu, oraz cały kierunek polityki państwowej, przyczyniały się do tego, że wielkie operacye pieniężne, układanie budżetów dorocznych, zaciąganie pożyczek itd., wszystko to dokonywało się pod najgłębszą tajemnicą.

Od czasów ministra Rejterna zaczęto podawać budżety do publicznej wiadomości, a w następstwie nawet zezwalano, ażeby niektóre projekty finansowe podlegały rozbiorom w prasie peryodycznej.

Wszakże i w chwili obecnej nie łatwą jest rzeczą dostać się do archiwum ministeryum skarbu, zwłaszcza chcąc zaczerpnąć danych o rozporządzeniach finansowych z panowań poprzednich.

Dlatego też, zdając sprawę z dzieła p. J. Blocha o *Finansach Rosyi*, przedewszystkiem uznać musimy zasługę autora, który umiejętnie wyzyskał umożliwiony przystęp do źródeł urzędowych i podał nam pracę co do zbioru i rozmaitości zawartych w niej faktów olbrzymią, a w chwili obecnej co do treści swej pierwszą i jedyną.

Badania skarbowe kraju pozostają zawsze w ścisłym związku z jego rozwojem historycznym. Według nas, możnaby je prowadzić z dwóch całkiem różnych punktów wyjścia, stosownie do tego, czy w kierownictwie finansów przeważa polityka zewnętrzna, wyciskająca na ich gospodarstwie swe piętno, czy też odwrotnie, wewnętrzna, dbała o dobrobyt społeczny i podniesienie bogactwa kraju. Wszystkie nowożytne państwa Europy pozostają obecnie w tem właśnie położeniu, że muszą na tem polu przedewszystkiem liczyć się z wymaganiami polityki zewnętrznej. Rosya, dążąca do celów daleko odsuniętych, potrzebowała ciągle olbrzymich środków i nie oglądała się wcale na to, o ile zasoby państwa są w stanie tym zamiarom podołać.

Stosunku odwrotnego śród państw nowożytnych moglibyśmy dopatrzeć chyba może w Stanach Zjednoczonych.

Rzecz oczywista, że w przedstawieniu zarysu finansów rosyjskich wypadło z konieczności stosować się do pierwszej z wymienionych metod, t. j. trzymać się ściśle stanowiska historyczno-politycznego, przez co historya i statystyka stały się, jak powiada autor we wstępie, dokładnym obrazem życia państwowego.

Po krótkim rzucie oka na zarząd skarbowy przed panowaniem Piotra I, na reformy tego monarchy i działalność skarbową jego następców aż do końca XVIII wieku, przedstawia p. Bloch w sposób wyczerpujący z roku na rok dzieje wszelkich urządzeń skarbowych i administracyjnych, podaje wykaz sumaryczny dochodów i wydatków państwowych, a co jedno z drugiego wynika—corocznych prawie deficytów, powiększonych następnie przez niedobory zamierzeń budżetowych, a łatanych bez końca za pomocą długów i nowych papierów. Fotel ministra skarbu staje się łożem Prokusta, na którem dręczą go z jednej strony stawiane przez współkolegów żądania nowych kredytów, projekty nowych wydatków, z drugiej napastują wierzyciele, brak gotówki staje się natrętnem widmem, a z oddalenia dochodzi niekiedy skarga na ciężar podatków.

Z pomiędzy wielu nader interesujących ustępów w dziele zaznaczyć musimy: cały

*) Tomów trzy, Warszawa 1883.

---

nego oddziału w Bogharze. Znasz Boghar, nazwany gankiem południa, widziałeś z wierzchołka portu początek tej krainy nagiej, kamienistej, popadanej i czerwonej. Jest to przedsionek pustyni, wspaniała i paląca granica niezmierzonych przestrzeni żółtych piasków.

Było nas w Bogharze czterdziestu spahów i stanowiliśmy tak nazwaną kompanię *wesołych*; oprócz tego znajdował się szwadron strzelców afrykańskich. Jednego dnia doniesiono nam, że pokolenie Uled-Berghi zamordowało podróżującego anglika, który, licho wie jakim sposobem tam się dostał. Trzeba było wymierzyć sprawiedliwość za tę zbrodnię, popełnioną na europejczyku, ale naczelny dowódzca wahał się z posłaniem całego oddziału, będąc zdania — i słusznie — że jeden anglik nie wart tyle zachodu.

Otóż, kiedy o tem rozmawiał z kapitanem i porucznikiem, wachmistrz spahów, czekający z raportem, odezwał się, że jeśli mu dadzą sześciu ludzi, to ukarze całe pokolenie.

W pustyni, jak wiesz, panuje nierównie większa swoboda, niż w garnizonach miast i pomiędzy oficerem a żołnierzem wywiązuje się nieznane gdzieindziej koleżeństwo.

Kapitan zaczął się śmiać.

— Ty, mój zuchu?

— Tak kapitanie, a jeśli pan sobie życzysz, zabiorę do niewoli całe pokolenie.

Kapitan, człowiek żywej bardzo wyobraźni, wziął go za słowo i rzekł:

— Jutro rano wybierzesz sobie sześciu ludzi, z którymi udasz się na pustynię, ale biada ci, jeśli nie dotrzymasz obietnicy!

Wachmistrz uśmiechnął się pod wąsem.

— Bądź spokojny, komendancie, moi niewolnicy będą tutaj najpóźniej w środę w południe.

Ten wachmistrz Mohammed-Friponille, jak go nazywano, był człowiekiem istotnie zadziwiającym. Turek, prawdziwy turek, po życiu bardzo burzliwem, a prawdopodobnie niezbyt czystem, wszedł do służby francuskiej. Przebywał w Grecyi, w Azyi Mniejszej, w Egipcie, w Palestynie i zapewne niejedną zbrodnię zostawił po za sobą. Prawdziwy baszybuzuk, zuchwały, hulaka, dziki i wesoły, do tego otyły, niezmiernie nawet otyły, ale zwinny jak małpa. Jeździł na koniu zachwycająco. Jego wąsy nieprawdopodobnie gęste i długie, przypominały mi zawsze półksiężyc, lub zakrzywioną szablę. Arabów strasznie nienawidził i obchodził się z nimi z nieopisanem okrucieństwem, wynajdując coraz to nowe podstępy i podejścia, jedne straszniejsze od drugich.

Przy tem wszystkiem posiadał nadzwyczajną siłę i nieprawdopodobną odwagę.

— Wybierz sobie swoich ludzi, zuchu—rzekł doń kapitan.

Do wybranych należałem i ja. Widocznie miał we mnie zaufanie, a za ten wybór, który mi zrobił więcej przyjemności niż później krzyż legii honorowej, byłem mu nieskończenie wdzięczny.

Pojechaliśmy więc nazajutrz o świcie w siedmiu, tylko w siedmiu. Moi towarzysze, z powołania rabusie i rozbójnicy, włóczące się i awanturujące po całym świecie, w końcu zaciągnęli się do wojska. Nasza armia afrykańska była pełna podobnych wyrzutków, doskonałych zresztą żołnierzy.

Mohammed dał każdemu z nas po dwanaście sznurków, mających około metra długości. Mnie zaś, jako najmłodszemu i najlżejszemu, dostał się jeszcze sznur sto metrów długi. Kiedyśmy pytali naszego dowódcę co będzie robił z tak znacznym zapasem konopi, odpowiedział spokojnie:

— Będę łowił arabów.

I mrugał okiem złośliwie, czego się nauczył od jednego strzelca afrykańskiego, paryżanina.

Jechał na czele naszej gromadki w czerwonym turbanie i od czasu do czasu uśmiechał się do siebie z zadowoleniem.

Ten ogromny turek był istotnie piękny ze swoim potężnym brzuchem, olbrzymiemi ramionami i spokojem w twarzy. Siedział na białym, średniej wielkości, ale silnym koniu, który zdawał się dziesięć-

epizod o usiłowaniach i systemie hr. Cancrina, rozdziały o wojnach krymskiej i ostatniej tureckiej i o ich skutkach pod względem finansowym.

Cała działalność dwudziestoletnia hr. Cancrina, jednego z najzdolniejszych ministrów, jakich Rosya kiedykolwiek posiadała, była bezustanną walką w obronie skarbu, w wynajdywaniu źródeł i środków do zaspokojenia potrzeb państwowych. Nic zasadniejszego nad program finansowy, jaki wypowiedział on cesarzowi Mikołajowi jeszcze w r. 1826. Według niego naród obowiązany jest złożyć corocznie fundusz, potrzebny na utrzymanie państwa, rząd zaś powinien: 1) poprzestawać na rzeczywistych dochodach, zatem unikać pożyczek, zwłaszcza zagranicznych i strzedz się jeszcze zgubniejszego pomnażania asygnacyj; 2) robić wszelkie możebne ulgi w ponoszeniu ciężarów; 3) ożywiać wszelkimi środkami handel oraz rozwój fabryk i wszelkich gałęzi narodowej wytwórczości; 4) zmniejszać istniejące nadużycia; 5) ulepszyć rachunkowość, poprawić położenie włościan, podnieść górnictwo krajowe itd.

Wszakże Cancrin nie zdołał urzeczywistnić nawet cząstki tego programu, z wyjątkiem pewnego ulepszenia rachunkowości i kontroli. Owszem sam Cancrin zmuszonym bywał zaciągać pożyczki, ukrywać ich cel rzeczywisty (nieprodukcyjny), fałszować sprawozdania. Dodajmy do tego, że jako konserwatysta *à outrance*, był wrogiem kolej żelaznych, a zwolennikiem wszelkich systemów protekcyjnych i prohibicyjnych, przekładał dzierżawę dochodu trunkowego nad system akcyzy i sprawy swe otaczał tajemniczością nawet dla następcy tronu. Znać również rękę mistrzowską wytrawnego specyalisty w obrobieniu wszelkich szczegółów, dotyczących kwestyi pożyczek państwowych, waluty państwowej, emisyi wszelkich znaków pieniężnych, historyi asygnaty i biletów kredytowych.

Postęp rosnących długów i emisyi pieniędzy papierowych oraz upadek ich kursu przedstawia wróżbę niepomyślną. Tak np., nie dotykając wcale czasów dawniejszych, weźmiemy cyfrę długu z r. 1844 po ustąpieniu Cancrina z zajmowanego urzędu. Wynosiły one wtedy, podług ogólnego obrachunku, 299,865.232 rs. oraz zamieniono świeżo 596 mil. rubli asygn. na nowe bilety kredytowe, która to suma odpowiadała 170 mil. rubli sr. W r. 1857, po wojnie krymskiej, cyfra długów zewnętrznych i wewnętrznych oraz innych wierzytelności skarbowych dochodziła prawie do 932 mil., a biletów kredytowych w obiegu było 730 mil. W r. 1879, po ostatniej wojnie tureckiej, długi i wierzytelności urosły do 2,400 mil., bilety kredytowe do 1,200 mil. rubli *).

Liczby te dają najwymowniejsze świadectwo, jak fatalny wpływ wywierają wypadki polityki zewnętrznej na system ogólny finansów państwa.

Po wojnie krymskiej można dostrzedz niejaki zwrot ku lepszemu. Nie wszystkie pożyczki idą na cele nieprodukcyjne; utworzenie licznych instytucyj kredytowych prowincyonalnych, oraz przeprowadzenie kolei żelaznych w różnych kierunkach, jednocześnie z reformami czysto społecznej natury, jak: wyzwolenie włościan i nowe urządzenie sądownictwa stanowiły w każdym razie epokę w życiu i rozwoju państwowym. Lecz, jak zbyteczne i uciążliwe wydatki na zawojowanie Kaukazu spowodowały w roku 1844 dymisyę hr. Cancrina, tak samo wojna turecka z lat 1878 i 79 stała się przyczyną usunięcia ministra Rejterna, a nawet następca jego, p. Greigh, nie mogąc zaprowadzić w wydatkach budżetowych spodziewanych oszczędności, po dwuletniem kierownictwie opuścił zarząd skarbowy, chociaż nie same tylko wymagania oszczędności na to wpłynęły.

Koleje musiały koniecznie wywrzeć skutki zbawienne na dobrobyt państwa. O skutkach tych, i wogóle o znaczeniu kolei żelaznych dla Rosyi, wydał autor przed laty kilku osobne pięciotomowe studyum, nad którem zakres niniejszego sprawozdania nie pozwala nam bliżej zastanawiać się. Wszakże ze stanowiska ekonomicznego zauważyć możemy, że, jak moneta papierowa nie stanowi rzeczywistej wartości, lecz tylko środek wymiany, jak kredyt w ogólności ze wszystkiemi swemi instytucyami, nie stanowi jeszcze kapitału, lecz tylko, dobrze skierowany, pomaga do wytworzenia się produkcyi i zasobów społecznych, tak również i koleje, w stosunku do państwa i społeczeństwa, są tylko udoskonalonym środkiem komunikacyi. Mogą być własnością rządu, a wtedy jeszcze z większą zasadą dadzą się zaliczyć do ogólnego kapitału narodowego, mogą również być własnością towarzystw i osób prywatnych, obciążając jeszcze niekiedy skarb gwarancyą zysków. Idzie więc o to, czy koleje przyczyniły się w Rosyi do wytworzenia nowej produkcyi i do pomnożenia zasobów społecznych? W ostatnich czasach odzywają się zażalenia, że drogi żelazne wpłynęły jedynie na podniesienie w różnych stronach rolnictwa, a nawet, że produkcya, mając ułatwiony niekiedy odbyt zboża, wysyła je do dalszych miejscowości, gdy tymczasem bliższe cierpią niedostatek.

Banki prowincyonalne również w wielu wypadkach zawiodły oczekiwania co do produkcyjności udzielanego przez nich kredytu, jak tego dowodzą coraz liczniejsze upadłości tych instytucyj.

(D. n.).

*) Podług wydanego w roku bieżącym w Petersburgu dziełka M. Brzeskiego o długach państwowyah Rosyi, wynoszą one obecnie:

Długi państwa konsolidowane	2,370,701,334
dług bieżący, bilety kredytowe i obligi skarbu	1,393 515,125
obligi kolejowe	1,071,423,270
nadto dług operacyi wykupu włościańskiego	498,397,649
Łącznie	5,334,037,388 r.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, listopad 1884.

Petöfi i Bem. — Ile człowiek może przeczytać, a ileby miał do przeczytania. — Najnowsze dzieła i przekłady niemieckie: Kolba — Lecky'ego — Büchnera — Krausego — Plössa — Brüggena i in. — Meyera dzieje starożytne wschodu.

Zazdrościć można węgrom takiego liryka, jak Petöfi, a Petöfiemu takiego życia, śmierci i sławy pośmiertnej, jakie mu los wyznaczył. Mężny młodzieniec ginie na polu chwały, ale dusza jego i po śmierci przemaga ciało, uwalnia je od mieszczańskiego pogrzebu w czarnym fraku, białych rękawiczkach i nowych butach; zwłoki nikną gdzieś bez śladu, stratowane kopytami końskiemi i żelaznemi kołami furgonów; nad bezimienną mogiłą wieszcza tworzy się legenda: nie zabity, powiadają, ale w niewolę wzięty i uprowadzony gdzieś na koniec świata, pod Kamczatkę; żyje, widziano go, wróci... Nie wrócił! Ale pieśni jego z każdym rokiem rosły w sławę,

kroć przynajmniej za małym dla swego jeźdźca.

Wjechaliśmy na niewielką płaszczyznę kamienistą, żółtą, nagą, prowadzącą do doliny Szelif i rozmawialiśmy o naszej wyprawie. Dawały się słyszeć różnorodne akcenty, gdyż mieliśmy między sobą: jednego hiszpana, dwóch greków, jednego amerykanina i trzech francuzów. Co zaś do Mohammeda-Fripouilla ten szeplenił w sposób nieznośny.

Słońce, straszne słońce południa, jakiego nie znają po drugiej stronie morza Śródziemnego, paliło nas w plecy i jechaliśmy stępa wedle miejscowego zwyczaju.

Przez cały dzień nie widzieliśmy ani drzewa, ani araba.

Około pierwszej z południa, przy źródle, wytryskującem z pod kamieni, zjedliśmy chleb z baraniną i po dwudziestu minutach wypoczynku w dalszą udali się drogę.

Nareszcie około szóstej wieczorem po ogromnem, z rozkazu dowódcy, zboczeniu z drogi, ujrzeliśmy za wzgórkiem całe pokolenie obozujące. Niskie, brunatne namioty wyglądały jak wielkie grzyby pustyni, rosnące u stóp wzgórza przepalonego słońcem.

Znaleźliśmy to, czegośmy szukali. Cokolwiek dalej na skraju doliny pasły się pomiędzy ciemno zieloną trzciną przywiązane konie.

Mohammed krzyknął: „Galop!“ i wpadliśmy w środek obozu jak uragan. Przerażone kobiety, okryte białymi szmatami, chowały się pod płócienne namioty, schylając się i czołgając, a wyjąc jak dzikie zwierzęta ścigane przez myśliwych. Mężczyźni przeciwnie, wychodzili ze wszystkich stron, gotując się do walki.

Jechaliśmy ku największemu namiotowi agi.

Mieliśmy szable w pochwach za przykładem Mohammeda, który w szczególny sposób galopował. Siedział zupełnie nieruchomo, prosto na swoim małym koniu, wijącym się wściekle pod tą ogromną masą. Spokój jeźdzca o długich wąsach dziwnie odbijał od żywości zwierzęcia.

Aga wyszedł, jakeśmy tylko zbliżyli się do namiotu. Był to mężczyzna chudy, czarny o lśniącym oku, wypukłem czole i brwiach w łuk zagiętych. Krzyknął po arabsku:

— Czego chcecie?

Mohammed osadziwszy konia na miejscu zapytał:

— Czyś to ty zabił podróżnika angielskiego?

— Nie potrzebuję się przed tobą tłomaczyć—odpowiedział aga głosem donośnym.

Koło nas zbierała się groźna burza. Arabowie przybiegali ze wszystkich stron, naciskali nas, otaczali, złorzeczyli.

Podobni byli do ptaków drapieżnych — każdy z zagiętym nosem, chudą twarzą, wystającemi kośćmi i rozwianem odzieniem.

Mohammed w turbanie na bakier uśmiechnął się, a po jego miesistych, zwisłych i pomarszczonych policzkach przemykał dreszcz rozkoszy.

— Śmierć zabójcy! — ryknął grzmiącym, zagłuszającym krzyki głosem.

Skierował rewolwer ku brunatnej twarzy agi. Zobaczyłem cokolwiek dymu wychodzącego z lufy, potem krew broczącą z jego czoła. Padł na wznak, jakby rażony piorunem, rozpościerając ramiona, z których na podobieństwo skrzydeł spadały lekkie fałdy burnusa.

Podniósł się nieopisany hałas. Byłem pewny, że już ostatni mój dzień nadszedł.

Mohammed wyjął szablę; zrobiliśmy to samo. Usuwając młynkiem zbytecznie go naciskających, wołał:

— Życie tym, co się poddadzą, śmierć reszcie!

I chwytając swoją herkulesową dłonią najbliżej stojącego, posadził go na siodle, skrępował mu ręce i rzekł do nas:

— Róbcie, jak ja, a opierających się rżnijcie!

W pięć minut pochwyciliśmy dwudziestu arabów, których silnie związaliśmy za ręce. Następnie ścigaliśmy uciekających, gdyż na widok gołych szabel wszystko to pierzchało. Schwytaliśmy jeszcze trzydziestu.

tłomaczono je, powiedziano i dziś uznano, że bohater szegosvarski pierwszym jest lirykiem epoki nowożytnej.

Świeżo pewien profesor preszburski ogłosił po węgiersku przyczynki do dziejów niedługiego żywota poety madyarskiego; nie umiejąc po węgiersku, korzystam z wyciągów, podanych przez pisma niemieckie z tej książki i podaję parę ustępów, obchodzących nas bliżej, z powodu, iż wyświetlają one stosunek Petöfiego do Bema.

Młody, dwudziestosiedmioletni naówczas poeta, walczył w r. 1849 jako major honwedów i adjutant Bema; pomiędzy nim a generałem zawiązała się ścisła przyjaźń; Bem pokochał ognistego Szandora (Aleksandra) jak własnego syna, dawał mu różne pieszczotliwe imiona, szukał jego towarzystwa, a Petöfi wywzajemniał mu się szczerem przywiązaniem; prowadził jego korespondencyę francuską, zawiadował kancelaryą i występował w dziennikach jako szermierz w obronie przekonań i zamiarów Bema. Pod Mühlbachem, w okolicach saskich Siedmiogrodu, poeta tak się w bitwie odznaczył, że generał własnoręcznie go za to orderem przyozdobił. Ton śmiały i otwarty raportów Bema do rządu debreczyńskiego nie bez słuszności przypisywano zuchwałemu pióru Petöfiego: to też ministrowie węgierscy (Kossuth stał na czele rządu) poczęli się obawiać wpływu jego i kopali dołki pod „awanturnikiem,“ jak go sobie nazywać pozwalali. Szykanowano go nawet drobnostkami: minister wojny Miszàros przysłał mu raz urzędową wymówkę za to, że nie nosił krawatu i rękawiczek. Doszło do tego, że za wpływem Klapki poeta musiał się na czas jakiś podać do dymisyi; ale wkrótce znowu wstąpił w szeregi i znowu pod opiekę Bema.

Na dni dziesięć przed bitwą pod Szegosvarem, 21 lipca 1849, napisał on ognisty list do żony, którą niedawno był poślubił i kochał płomiennie; list ten jest ostatnim w życiu jego. Oto parę z niego ustępów. „W Bereczk spotkałem się z Bemem. Stanąłem przy powozie i salutowałem; gdy mnie spostrzegł i poznał, wyciągnął ku mnie ramiona. Rzuciłem mu się na szyję i ucałowałem. *Mon fils, mon fils* — wołał stary z płaczem. Otaczający, widząc to, zapytywali Gabriela Egressy, czy to syn generała? Teraz jest on dla mnie jeszcze serdeczniejszym i bardziej wylanym niż dawniej, chociaż zawsze był dobrym. Dzisiaj powiedział drugiemu adjutantowi: donieś pan ministrowi wojny, ale napisz tak co do słowa: adjutant mój, major Petöfi, który się był podał do dymisyi skutkiem niegodnego postępowania generała Klapki, wstąpił znowu na służbę.“

Posiadamy dużo luźnych przekładów poezyj wieszcza madyarskiego; możeby warto było zgromadzić w jedną wiązankę te listki rozproszone, wybrać lepsze tłomaczenia, dopełnić je i ogłosić. Petöfi zasługiwałby na to przed wielu, wielu innymi!

Zima, jak zwykle, zalewa tutaj w Niemczech rynek księgarski powodzią nowych książek. Nie seciny, ale tysiące tomów sypią się niby z olbrzymiej jakiejś biblioteki. Człowiek pojedynczy nie jest w stanie ogarnąć ogromu tego choćby pobieżnym rzutem oka, a cóż dopiero przeczytać, przetrawić, słusznie osądzić. Wszakże niedawno|ktoś obliczył, iż przy najszczerszej chęci, zwykły śmiertelnik nie zdoła przeczytać dziennie więcej nad sto stronnic książki poważnej, i to z wielkiem natężeniem umysłu i oczu. Otóż, przypuszczając, iż znalazłby się niezmordowany pracownik, któryby cały rok bez przerwy tak czytał, to w najlepszym razie przebiegłby okiem i myślą rocznie 36,500 stronnic, czyli mniej więcej około 80 średniej grubości tomów. Cóż więc począć, gdy takich tomów sypnie się naraz z niezliczonych drukarni niemieckich nie 80, ale 800, 1,000, 2, 3, 4,000? Naturalnie, ograniczyć się trzeba pewną specyalnością. Ale i w tej specyalności takie bogate piśmiennictwo, jak niemieckie pozwala sobie zbytków: o tym samym przedmiocie pojawia się nie jedno, nie dwa, ale czasami naraz kilka i kilkanaście książek. Trzeba więc robić i tutaj wybór, trzeba zważać na imię autora, na firmę nakładcy, na powtarzanie się wydań. Widać stąd nietylko trudność zdawania sprawy o nowościach literatury niemieckiej, ale z drugiej strony, większą jeszcze niełatwość wybicia się na wierzch w tej nawale, w której większość tonie, a cząstka tylko wydobywa się na widownię.

Spojrzmy więc nasamprzód i zauważajmy, komu się udało wypłynąć nie po raz pierwszy: drugie, trzecie i dalsze wydania są bądź co bądź rękojmią wartości płodów, nie beletrystycznych (bo bywają epoki złego smaku, lub amatorstwa skandalu, nie przymawiając naszej), lecz przynajmniej poważniejszych.

O Kolba *Culturgeschichte* dawno już, gdy się dzieło to po raz pierwszy ukazało, zdawał obszernie sprawę szanowny kolega mój T. Korzon (w *Bibliotece warszaw.*); wychodzi ono obecnie w trzeciem „zupełnie przerobionem“ wydaniu. Autor, jak to widać z przytoczeń w zeszycie pierwszym, który mam przed oczyma, korzystał do swej przeróbki z najnowszych prac odpowiednich (Hommla, Maspero, Chabasa itd.), których znać nie mógł, po raz pierwszy dzieło ogłaszając. Komu źródłopisma dziejowe nie są z jakichkolwiek powodów dostępnemi, dużo się może z Kolba dowiedzieć. Toż samo, z większą jeszcze słusznością, powiedzieć należy o pięknej pracy anglika Lecky'ego: *Dzieje racyonalizmu w Europie*, która doczekała kilku wydań angielskich, a obecnie w drugiem wydaniu przekładu niemieckiego w Heidelbergu się drukuje.

Wiele dobrego mówią i piszą o Carusa Sterne'a (pseudonim Ernesta Krausego) dziejach utworzenia się świata organicznego, kultury i cywilizacyi ludzkiej, zawartych w dziele *Werden und Vergehen* (Powstawanie i znikanie); w ciągu lat kilku ukazuje się ono w trzeciem wydaniu. Rzecz napisana świetnie, jasno i dostępnie a zdaniem przyrodoznawców nawet bardzo uczenie. Autor jest darwinistą i bierze czynny udział w znanem czasopiśmie *Kosmos*. Chwalą też i słusznie zdaniem mojem, w trzeciem już wydaniu wychodzące, znacznie rozszerzone dzieło Plossa: Dziecię w zwyczajach i obyczajach ludów (*Das Kind in Brauch und Sitte der Völker*). Jest to monografia dziecka, napisana z punktu antropologiczno-ludoznawczego oraz mitologicznego. Podania o duszy dziecinnej, skąd i jak przybywa, dokąd po śmierci ulata, obrzędy i obchody urodzinowe, kuwada, nadawanie imienia, chrzciny i kumostwo, religijne oczyszczenie matki, mityczne znaczenie wielu zwyczajowych przepisów pedagogicznych, rozmaite tradycyjne kaleczenia ciała dzieci, kąpiel, kołysanie, usypianie, karmienie, leczenie, zabijanie, wyrzucanie dziatwy, mowa, gry i pieśni dziecinne, stanowisko prawne, wreszcie wyzwolenie dziecka na młodzieńca, o ile się łączy z pewnymi prawnymi lub zabobonnymi zwyczajami, wszystko to przegląda autor okiem trzeźwego lekarza i przyrodnika, drogą porównawczą, w świetle podań starożytnych i opisów dzisiejszej dzikiej lub nawpół dzikiej części ludzkości,

---

Kobiety, jak białe widma, biegały po całej dolinie, trzymając dzieci za ręce i wydając bolesne jęki. Psy żółte, podobne do szakali, kręciły się w koło nas, szczekając i wyjąc przeraźliwie.

Mohammed uszczęśliwiony zeskoczył z konia, pochwycił sznur mnie powierzony i rzekł:

— Baczność, dzieci, dwóch z koni!

Wtedy zrobił coś okropnego i śmiesznego zarazem: ułożył różaniec z więźniów, czyli raczej z wisielców. Przywiązał mocno obie ręce pierwszego niewolnika, potem otoczył jego szyję tym samym sznurem, którym w tem sam sposób krępował ręce i szyję drugiego. Wkrótce naszych pięćdziesięciu niewolników było związanych tak, że najmniejsze usiłowanie ucieczki jednego, byłoby wraz z nim zadusiło i jego dwóch co najmniej sąsiadów. Musieli iść równo jeden koło drugiego, w przeciwnym bowiem razie sznur zaciągał się i padali jak nieżywi.

Kiedy ta szczególna robota była już skończona, Mohammed zaczął się śmiać swoim bezgłośnym śmiechem, który mu wstrząsał brzuch, gdy tymczasem z piersi żaden dźwięk nie wychodził.

— To się nazywa łańcuch arabski—rzekł.

My sami nie mogliśmy się wstrzymać od śmiechu, patrząc na przerażone i płaczliwe twarze więźniów.

— Teraz, dzieci — zawołał dowódca — przytwierdźcie oba końce do pali.

Istotnie, przywiązano do pali oba końce tej wstęgi białych postaci podobnych do widm, a stojących nieruchomo jak słupy.

— I jedzmy obiad — dodał turek.

Rozpaliliśmy ogień i ugotowali barana, zabitego własnemi naszemi rękami. Następnie piliśmy mleko i jedli daktyle, znalezione w namiotach, oraz zbierali srebrne klejnoty, porzucone przez uciekających.

Właśnie kończyliśmy naszą ucztę, kiedy spostrzegłem na jednem wzgórku szczególniejszą gromadę. Były to kobiety, same tylko kobiety. Zbliżały się ku nam, biegnąc. Pokazałem je Mohammedowi.

— To nasze wety — rzekł z uśmiechem. Ach! tak, piękne wety!

Biegły jak opętane i wkrótce zarzuciły nas kamieniami, które ciskały, nie zatrzymując się w biegu; prócz tego były uzbrojone w noże, w pale, wyciągnięte z namiotów i w stare, kuchenne naczynia.

Mohammed krzyknął: „Na koń!“ W samą porę wydał ten rozkaz, gdyż atak był wściekły. Kobiety napadły na nas w celu oswobodzenia więźniów i chciały przeciąć sznur. Turek zrozumiał niebezpieczeństwo, białka zaszły mu krwią i ryknął: „Rąbcie!“ A kiedyśmy stali, nie wiedząc sami, co robić wobec tego rodzaju walki i nie chcąc zabijać kobiet, rzucił się na nacierającą gromadę.

Sam uderzył na ten batalion kobiet w łachmanach i łotr rąbał — rąbał, jak opętany z taką zaciętością i zaciekłością, że za każdem podniesieniem szabli padała jedna biała postać.

Był taki straszny, że kobiety przerażone uciekły równie szybko, jak przybiegły, zostawiwszy na placu dwanaście zabitych i rannych.

Mohammed z twarzą wzburzoną zwrócił się ku nam, powtarzając:

— Wynośmy się, chłopcy, wynośmy, bo zaraz wrócą.

I zabraliśmy się do odwrotu, prowadząc zwolna naszych więźniów z bojaźni, by ich nie podusić.

Nazajutrz biła właśnie dwunasta w południe, kiedyśmy wjechali do Bogharu z naszym łańcuchem arabów. Tylko sześciu w drodze umarło. Ale trzeba było co chwila rozluźniać sznur od jednego końca do drugiego, gdyż każde pociągnięcie dusiło dwunastu naraz.

Kapitan umilkł. Ja nie rzekłem ani słowa, tylko sobie myślałem, że to jednak dziwny kraj, w którym można widzieć podobne rzeczy — i dalej patrzyłem na niebo wyiskrzone gwiazdami.

Tłom. *Kasylda K.*

wspierając się na ogromnej ilości faktów, których mu dostarcza niepospolita erudycya i tłomacząc je prawie zawsze trafnie i racyonalnie. Rzecz bardzo obszernie i głęboko wzięta, dla miłośników historyi cywilizacyi nader zajmująca i pouczająca. Znam pracę tę w zakresie jednotomowym z r. 1881, gdy się po raz pierwszy ukazała; obecnie urosła ona do rozmiarów dwóch sporych tomów: autor przez trzy lata ostatnie nie porzucił swojego przedmiotu, lecz owszem wzbogacał go nowymi dodatkami i doprowadził obraz swój do możebnej zupełności.

Pojawiło się kilka nowych rzeczy o Rosyi. Oprócz przekładu pierwszego tomu znanego z *Revue de deux mondes* dzieła Leroy-Baulieu, (o którem *Prawda* wspomniała, a o którem *Litterarisches Centralblatt* w jednym z ostatnich numerów podaje ciekawy referat, zarzucający autorowi wielką jednostronność w zapatrywaniu się na wewnętrzne stosunki cesarstwa), baron Brüggen, znany i u nas, jako autor *Polens Auflösung* (1879), ogłosił świeżo spory tom p. t. „Wie Russland europäisch wurde;" jest to historya ostatnich dwóch stuleci w Rosyi, napisana gładko, świetnie, można powiedzieć, nie jako przyczynek do badań dziejowych, ale jako wstęp i podstawa do poglądów autora na stan obecny, oraz na przyszłość tego państwa.

Idąc w ślady Tęgoborskiego, niejaki p. Matthäi rozpoczął druk obrazu zasobów ekonomicznych Rosyi (*Die wirthschaftlichen Hülfsquellen Russlands* itd.); dotychczas wyszedł zeszyt pierwszy i zawiera początek statystyki rolniczej Cesarstwa, oraz Królestwa, które nazywać raczy „Weichselgouvernements" (od str. 48).

Tylko co przełożono na język niemiecki dzieje piśmiennictw słowiańskich, a w tej liczbie i rosyjskiego, Pypina i Spasowicza, aż o to pojawia się nowa, wcale udatnie zapowiadająca się, oryginalnie przez niemca (nadbałtyckiego) napisana historya literatury rosyjskiej (von Reinholdt, *Geschichte der russ. Litteratur*); autor zna dobrze język rosyjski i przyrzeka wiele: zobaczymy jak dotrzyma obietnic; zeszyt pierwszy zdaje się wróżyć coś dobrego; zawiera on rzut oka na język i zasoby podaniowe.

Zwyczajem powszechnie praktykowanym, pojawiają się i tutaj książki z datą przyszłoroczną; nosi ją pisemko, traktujące właśnie o krainie przyszłości: *Deutsch-Afrika*, przez niejakiego Oberländera. W tej Afryce niemieckiej odkrył już autor i opisał „Lüderitz-Land," a przytem dowiódł, że w roku odsieczy wiedeńskiej bandera brandeburska powiewała już na Wybrzeżu Złotem. Czemuż nazawsze tam nie pozostała, westchniesz czytelniku! Obyż choć teraz błogo jej tam było, ale to tak błogo, żeby jak kokosz ewangeliczna ze wszystkiemi pisklęty tam się wyniosła...

Nie mogę przeglądu mojego doryweczą broszurą zawrzeć: należy się wzmianka i to bardzo zaszczytna książce najważniejszej może z rzędu mnie dostępnych nowości. Jest nią historya starożytna Ed. Meyera. Dotychczas za najlepszą w tym zakresie uchodziły kilka razy przerabiane i wydawane obszerne dzieje starożytności M. Dunckera: ładnie napisane, jasno wyłożone, jakkolwiek nie oparte na bezpośredniej znajomości źródeł, dzieje te przez ciąg lat trzydziestu uważano za najlepszy podręcznik historyi wschodu. Obecnie zdaje się iż Meyerowi przeznaczono pierwsze tu miejsce zająć. Odznacza się on niezwykłą uczonością: czyta hieroglify, napisy klinowe, umie po hebrajsku i zna wszystkie najnowsze odkrycia archeologiczne na wschodzie, nie mówiąc już o autorach klasycznych i najświeższych monografiach. Dotychczas wyszedł spory tom pierwszy jego pracy, obejmujący Babilon, Asyryę, Persyę i Egipt. Ebers nazywa ją pierwszorzędną. *Jan Karłowicz.*

Z FRANCYI.

Paryż smutny. — Paryż musi się bawić. — Pojedynek według zasad p. Tavarniera. — Kwarta krwi za dwadzieścia „sous." — *Moja żona niema szyku* p. Debrit.— Nowa etyka p. Guyau. — Filozofowie o kobietach.— Miramont przeciwko Schopenhauerowi.

Chociaż sławny z wesołego dowcipu Parisis stara się swymi artykułami w *Figarze* rozweselić czytelników, to jednakże Paryż jest ciągle w tym roku jakiś smutny i ponury. Przeraziło go najprzód widmo cholery, a ponieważ paryżanie są nadzwyczaj nerwowi, a może jeszcze więcej wrażliwi na kieszeń, która w tym roku nie bardzo pełna, więc panuje zastój zupełny, a co gorsza z większemi zimnami zaczynają się też odzywać coraz mocniej objawy nędzy, która tu dochodzi czasem do potwornych rozmiarów.

Zimno i głód — oto dwa upiory, które ukazują się o tej porze zawsze. Jak je odżegnać? Kiedy termometr spada niżej zera, kiedy pracy niema, gdy narzędzie spoczywa bezczynnie w rękach rzemieślnika, kiedy tysiące nędzarzy drżą przed kominami bez ognia, przed dziećmi bez chleba — wtedy w tych ramach występuje cała „kwestya socyalna."

Wszystkie konferencye, wszystkie zebrania, publiczne i prywatne, wszystkie krucyaty są tylko widowiskami mniej lub więcej szlachetnemi, gdy układ warunków gubi tyle istot ludzkich. Najpierwszem prawem człowieka jest nie umrzeć z głodu, a pierwszym obowiązkiem tych, którzy są zabezpieczeni od tej fatalności, jest ubezpieczyć również innych.

Powiadadają, że tylko głód zmusza wyjść wilka z lasu; wyprowadza on też z ciemnych zaułków miasta straszne postacie o bladych licach, kobiety na pół nagie z płaczącemi dziećmi, które żebrzą litości przechodniów.

Paryż jest miastem litościwem, może nie mniej litościwem, niż Warszawa, która przecież tak słynie z tego przymiotu. Nawet objawy miłosierdzia są te same; bale, rauty, koncerty, przedstawienia itp.

A w istocie niema innego sposobu wsparcia nędzy: Paryż musi się bawić dla zmarzłych, aby ich ogrzać, dla głodnych, aby ich nakarmić.

Musi się bawić, bo wtedy jest litościwszy i czulszy; łatwiej płaci podatek dla tych, którzy cierpią i płaczą.

Tymczasem dotąd wszystko drzemie. Pobudka do otwarcia sezonu zabaw dawniej wychodziła ze dworu, który dziś nie istnieje, a prezydent bawić się nie lubi i oszczędzać potrzebuje na lata dymisyi.

W tej chwili jednak Paryż posiada wszystkie warunki do weselenia się: cholera ustała. Opera posiada aż dwóch dyrektorów, którzy zaczną jej nowy okres, świetniejszy od wszystkich poprzednich; teatr w „La porte Saint-Martin" będzie grał wkrótce *Theodore* Sardou z Sarą Bernhard.

Widnokrąg tak wypogodzony nie pozostawiałby nic do życzenia, gdyby nie kłótnie *Figara* z *Gil Blasem*, które naturalnie wstrząsają nerwy ich stałych wielbicieli i czytelników. W tej chwili np. zjadają się o to, że autorem *Germinala*, drukowanego obecnie w *Gil Blasie*, nie jest Emil Zola, ale jakiś p. M. Talmayer, którego słynny powieściopisarz miał tajemnie obrabować.

W samą porę p. Tavernier ogłosił swą piękną pracę, ozdobioną rysunkami utalentowanych artystów a zatytułowaną *l' Art du Duel*, gdzie podaje zasady, zmieniające charakter pojedynku, który we Francyi, używającej zwykle szpad, przy chęci przeciwników walczenia na seryo, był sprawą niebezpieczną, narażającą na utratę życia, albo przynajmniej na ciężką ranę.

Dzisiaj warunki się zmieniły; obecne pokolenie nie zdradza krwiożerczości, czyhania na życie; idzie mu raczej o prosty formalizm, o spotkanie się przeciwników i o wzajemne lekkie zadraśnięcie, do czego właśnie p. Tavarnier podaje zasady. Zapaśnicy z *Figara* i *Gil Blas* mogą z tego korzystać.

Chociaż tego właśnie jeszcze potrzeba było francuzom, którzy mają we krwi awanturniczość, tak, że nawet w ostatnich czasach prawodawstwa oświadczyło się przeciw pojedynkom; ponieważ jednak i pod togą sędziego tętnią te same uczucia, więc zrobiono to w sposób, który raczej pomnoży liczbę wyzwań, zamiast ją zmniejszyć. Tak np. trybunał lyoński skazał pojedynkujących się na karę jednego franka, chociaż krwi upłynęła podobno kwarta.

Kwarta krwi za dwadzieścia „sous" — to wcale nie drogo!

P. H. Debrit świeżo wystawił komedyę: *Ma femme manque de chic!* (Moja żona niema szyku).

Przedmiot jej błahy, rozwinięcie pospolite, sytuacye już dawno zużyte... ale dyalog wesoły, oryginalny a przytem prosty: więcej do powodzenia nie trzeba.

Prostota taka przydałaby się pracy p. Guyau pod tytułem: *Esquisse d'une morale sans obligation ni sanction.* Autor wziął sobie za zadanie stworzyć teoryę obyczajów zupełnie rozumowych, w którychby nie było wcale przesądów. Przygotował on się już dobrze do trudnego zadania przez dawniejsze studya. Odrzucając bezwzględnie wszystkie prawa „wyższe," usiłuje z faktów wyciągnąć reguły, z rzeczywistości — ideał, z natury — moralność.

Gdyby sprawiedliwość przeszła w ręce kobiet, to te z pewnością odnowiłyby prawo cezara Kaliguli przeciwko złośliwym pisarzom.

„Ktokolwiek — mówił dekret cezara — wyda złe dzieło, będzie miał do wyboru dwie kary: albo wylizać je językiem, albo być utopionym w Tybrze."

Schopenhauer kiedyś dowodził:

„W młodych panienkach natura chciała wytworzyć to, co w stylu dramatycznym nazywa się *un coup de théâtre.* Obdarza je ona przez kilka lat pięknością, wdziękiem, doskonałością nadzwyczajną na koszt całego pozostałego życia. Tym sposobem w przeciągu niewielu lat blasku mogą one opanować imaginacyę mężczyzny i obarczyć go sobą prawnie w jakikolwiek sposób."

„Tak to natura uzbroiła kobietę, jak wszystkie inne stworzenia, bronią, zapewniającą jej istnienie."

„Tak samo jak mrówka, po związku z osobnikiem męskim, traci skrzydła, które stają się jej niepotrzebne a nawet szkodliwe podczas wysiadywania jajek, również po dwóch lub trzech dniach (w oryginale dosadniej) kobieta traci swą piękność, bezwątpienia z tego samego powodu."

„Podczas gdy uznają one swoje prawdziwe powołanie w miłości i we wszystkiem co się do niej odnosi, toalecie, tańcu i t. d., gospodarstwo domowe uważają za rzecz dodatkową i bagatelną."

„Im więcej twór jakiś jest skończony, tym wolniej się rozwija. Rozum i inteligencya mężczyzny dosięga zaledwie swego rozwoju około dwudziestego ósmego roku. U kobiety przeciwnie, dojrzałość umysłu przychodzi w roku osiemnastym."

„To też ma ona rozum lat 18-tu ściśle odmierzony, a przez całe swe życie pozostaje prawdziwem dzieckiem."

P. Piotr Miramont, oburzony na tę zuchwałą niegrzeczność niemieckiego myśliciela, przedsięwziął zbić jego teoryę, kładąc obok niej swoją, która posiada przynajmniej tę wyższość, że opiera się na zdaniu ogólnem.

Schopenhauer mówi: „Kobiety są niższe od mężczyzn we wszystkiem, co się tyczy słuszności i prawa. Niesprawiedliwość

jest głównym ich błędem. Natura odmawiając im siły, obdarzyła je wybiegami."

A posłuchajmy p. Miramont.

„Nie można powiedzieć kobieta jest niesprawiedliwą, ale lepiej: kobieta jest „*inequitable*" (niemającą słuszności).

Sprawiedliwość jest dwupłciową — posiada dwa oblicza: 1) słuszność i 2) litość. Pierwsza jest rodzaju męskiego, druga — żeńskiego.

A już to coś znaczy: kobiety są litościwe, mają sprawiedliwość względem tych, którzy cierpią, względem słabych, chorych, nieszczęśliwych dzieci.

Schopenhauer mówi dalej: „Kobiety nie mają ani poczucia. ani pojęcia o muzyce, jako też o poezyi i sztukach plastycznych. Jest to w nich tylko proste „małpowanie", prosta chęć podobania się przez to."

„Cóż można wymagać więcej od tego rodzaju, gdy się zastanowimy, że podczas biegu całych wieków płeć ta nie wydała ani jednego prawdziwie wielkiego umysłu, ani jednego dzieła zupełnie oryginalnego, bądź w sztukach pięknych, bądź w czem kolwiek — ani jednego dzieła o trwałej wartości."

Szczęściem że George Sand była francuską! To co mówi filozof niemiecki, może być prawdą.... w Niemczech.

Inaczej też twierdzi p. Miramont.

„Kobieta ma swoją sztukę, swoją religię, swoje prawo, swój charakter, swój umysł, ale odmienny od naszego. Ona ma swój rozum, a jest nim jej dowcip; swój charakter, to jest porywy; swoje serce, to jest żywość; swoje prawo, to jest litość; swoją estetykę, to jest namiętność; gdy tymczasem nasz umysł nazywa się mocą, nasz charakter — rozwagą, nasze serce — stałością, nasze prawo—słusznością, nasza pobożność—poszanowaniem, nasza estetyka — harmonią. Tak inteligencya, wola, serce, równie jak sprawiedliwość, religia, sztuka—są płciowe" *).

Jeśli nie czytelnicy, to czytelniczki wybaczą mi to nieco przydługie zatrzymanie się nad tym przedmiotem żywotnym, który ustawicznie drażni i pobudza do myślenia.

Gnotus.

*) *La femme d'apres Schopenhauer.* La nouvelle Revue.

LISTY KRAKOWSKIE.

30 listopada.

Fiat lux! — Echo z jubileuszu Bałuckiego. — Były prezydent i Rada miasta. — Z prasy. — *Dziennik powieści.* — *Ananas*, kalendarz humorystyczny.

„Mehr Licht!" — zawołał Goethe na śmiertelnem łożu — „światła, więcej światła!" — woła krakowianin, szczęśliwy, kiedy przy pełni księżyca, po linii A—B krocząc, nie potrzebuje nieść w ręku latarki, aby o nieociosane słupy nie ugodzić głową. Ktoby w dzień zobaczył Kraków, nie wierzyłby oczom własnym na widok tylu lamp niższego i wyższego rzędu: te nadymają się na podobieństwo dziadów w pańskie ubranych łachmany, tamte z pogardą i pewnością siebie z wyższego na te wstręty spoglądają stanowiska.

Nagłą tę ozdobę zawdzięcza Kraków swoim rajcom, którzy po skończeniu się kontraktu z Towarzystwem gazowem szukali drogi wyjścia z trudnych warunków (mądrzy po szkodzie) i starali się o zniżenie ceny gazu. Towarzystwo, trzymające się ściśle kontraktu, w którem powiedziano, że dopiero po 15 jeszcze latach rury i fabryka staną się własnością miasta, nie chciało obecnie zrobić żadnego ustępstwa w mniemaniu, że gród nieporadny, na razie zależny od niego, na dawne zgodzi się warunki. Tymczasem Rada zerwała dalsze układy, postarała się o nieśmiertelne słupy i lampy Ditmarowskie i pozostawiła Towarzystwo na lodzie; to bowiem, ograniczone do oświetlania prywatnych lokalów, między którymi coraz więcej znajduje się zwolenników nafty, będzie musiało nakoniec kapitulować. Ale nim się zakończy owa walka „na przetrzymanie," tymczasem brodzić musimy w ciemnościach i rozpamiętywać znikomość rzeczy ludzkich, patrząc na naftowe w Sukiennicach lampy, których szkła rozbite, papierem pozalepiane, a same zamiast światła kopeć tylko wydają...

Zrosztą, „że się w ciemnię zasuwamy a nie w zorzę" — nic to nowego tam, gdzie systematycznie stłumiona jest w zarodku każda myśl śmielsza, każdy postęp. Gdzie stańczyków wszechwładztwo, skojarzone z jezuityzmem, szerokie zatacza kręgi, gdzie synekury są celem jedynym, a praca i zasługa nie mają ceny, tam nikt, jeżeli tylko nie służy tendencyom stronnictwa, działać pomyślnie nie może. Co więcej, duch ultramontańsko-stańczykowski jest tak zaraźliwy, że często nie wiesz w pierwszej chwili, z kim masz do czynienia: w najszczerszym przyjacielu zasad i przekonań domacasz się nagle stańczyka. W knajpce, w zebraniu prywatnem, nawet tu i owdzie w piśmie (ale bezimiennie) odezwie się ktoś swobodniej; lecz gdy chodzi o ujawnienie przekonań, każdy pseudo - liberał w mysią norę się kryje.

Ot niedawno chodziło o uczczenie pisarza demokratycznego, M. Bałuckiego. za 25 lat pracy. W dziennikach opis jubileuszu wyglądał wcale poważnie i zdawaćby się mogło, że nie jest tak źle jeszcze, jeżeli do stu ludzi różnych zawodów ośmieliło się publicznie swoją solidarność postępową objawić. Ale gdyś spojrzał za kulisy i widział, jak przyjaciel przyjaciela niemal za kołnierz ciągnąć musiał, zaklęciami zachęcał i wzywał, aby sztandaru nie opuszczał, wtedy otucha słabła i mimo jawnego usuwania się stańczykom gruntu pod nogami, dostrzegałeś ich możne, żadnymi drogami nie gardzące wpływy. Im szczuplejszy ich zastęp, w tem bardziej zwartych występują szeregach i umieją groźbą czy zachętą, przysługą czy obietnicą łatwowiernych a zależnych łowić na wędkę.

Liberałów naszych na palcach policzyć można. Kiedy chodziło o to, aby nie przyjąć rezygnacyi prezydenta miasta i wnieść do Rady stosowną petycyę, znalazło się podpisów mniej, niż potrzeba, a na pełnem posiedzeniu, kiedy gwałt ustawie zadawano, odezwał się tylko jeden i drugi głos przeciwny, pobity uciekał i stańczycy dra Szlachtowskiego na prezydialne wtoczyli krzesło. W znacznej mniejszości znajdując się, partya liberalna niczego nie przeprowadzi, a kropla na wydrążenie kamienia potrzebuje długiego lat przeciągu...

Sztandar liberalny, który od trzech lat dzierży *Reforma*, obrzuciło to stronnictwo już niejednokrotnie błotem i sponiewierało bezecnie. W ostatnim czasie zajrzał znowu organ wsteczny do słownika epitetów, wypracowanego przez członków redakcyi podczas walki podjazdowej przed wyborami do Rady miejskiej. Chodziło o młodzież uniwersytecką, która stracila jedyne schronisko umysłowe, „Czytelnię," przez cofnięcie się od kuratorstwa prof. Smolki. *Reforma*, dotykając sprawy nowo zawiązującego się Towarzystwa młodzieży naszej, we wstępnym artykule zarzuciła profesorom uniwersytetu, że utworzyli klikę, służącą stronnictwu, że do tego celu wiodą młodzież, a sami zamiast pracy umysłowej bawią się polityką. Była to woda na młyn *Czasu*. Rzucił się on zjadliwie na przeciwniczkę, a miotając się i pieniąc ze złości na „frazesowiczów" i ich „destrukcyjne roboty," wylał wszystek zapas żółci, dołączywszy protest jednego z młodych profesorów, który, mówiąc nawiasowo, wmieszał się w tę sprawę, jak Piłat w *credo*. Jakkolwiek *Reforma* nieco szkła przyczerniła (bo młodzież uniwersytecka więcej teraz pracuje, niż dawniej i niewątpliwie kilku najmłodszych profesorów wlało w nią nowe życie i zapał), to przecież trudno zaprzeczyć, że niektórzy profesorowie starają się młode a zdolne umysły przywabić i zjednać, aby z nich w przyszłości uzyskać uległe narzędzia stronnictwa. Drogą stypendyów, zapomóg, lekcyj prywatnych dochodzą do tego łatwo.

Pomimo protekcyi *Czasu*, pomimo wszystkich poruszeń stańczykowskiej szruby skonał tu *Dziennik powieści* — na suchoty. Pomysł wydawania powieści arkuszami codziennie, napozór oryginalny i obiecujący, wśród obecnej powodzi w powieściopisarstwie okazał się niepraktycznym w zastosowaniu. Nowiny półarkuszowe nie uratowały wydawnictwa, które mogło wygórowaną ceną prenumeraty wielu odstraszyć. Wydrukowano część powieści Kraszewskiego p. t. *Rodzeństwo* i część francuskiego romansu Capendu'ego p. t. *Mściciel zbrodni* — w połowie drogi, ba nawet przy pierwszych krokach sił zabrakło i trzeba było wycofać się z honorem.

Dziś tak publiczność nasza zleniwiała, że nawet dłuższej powieści nie czyta chętnie. przenosząc nowele i humoreski, choćby kalendarzowe. Najlepszym tego dowodem *Ananas*, kalendarz humorystyczny K. Bartoszewicza, którego pierwszy nakład w dwu tygodniach wyczerpano. Wydawca, znany z kronik humorystycznych, umieszczanych w *Przeglądzie literackim* i z *Pereł humoru polskiego* (niepozbawionych i plew lichego gatunku), powziął rzeczywiście szczęśliwą myśl wydawania kalendarza humorystycznego ilustrowanego, nieznanego dotychczas w Krakowie. Naturalnie. że głównym źródłem tego humoru w kalendarzu jest sam wydawca, począwszy od tytułu, a skończywszy na „senniku egipskim," i to sprawia, że zdrój w niejednem miejscu słaby i wysilony. Koroną atoli książki i przynętą dla krakowskiej publiczności jest Kronika pośmiertna roku 1884, „sławetnym obywatelom m. Krakowa przypisana." Kronikarz. po wezwaniu Muzy sarmackiej, wspomina o powodzi, o wyborach miejskich (które osobno wierszowaną unieśmiertelnił kroniką), o wizycie czechów, a przyszedłszy z kolei do wzmianki o lampach naftowych, taką przemawia wyborną apostrofą:

„Tymczasem naftą chwalmy się po świecie,
Żółtymi słupy, co stoją pochyło,
Życząc wam rajcy, by, kiedy pomrzecie,
Tak wiekuiste wam światło świeciło.
Jako nas biednych tu oświetlać chcecie!
Oby wam w życiu tak się wciąż kopciło,
Jak nafta kopci na rynku, ulicach,
A przedewszystkiem w starych Sukiennicach."

Między wydarzeniami ubiegłego roku, przedstawionemi dalej, jest jedna pyszna strofka, której nie możemy pominąć bez przytoczenia w dosłownem brzmieniu:

„Odkrył drugiego Adama Tarnowski *),
Cholerę zalał deszczem Rostafiński,
Turniurę Ewy zbadał Sokołowski.
Kodeks Popiela wymacał Bobrzyński,
A nawet głośne chodziły pogłoski,
Że Smolka wykrył jakiś traktat chiński!
W którym Konfucyusz najjaśniej wyłożył,
Że świat ten Stańczyk, a nie Pan Bóg stworzył."

Dodać należy, że oprócz tej części humorystycznej zawiera kalendarz drobnostkę sceniczną M. Bałuckiego, p. t. *Bilecik miłosny*, dosyć pospolitą, kilka piosnek A. Bartelsa, dwa opowiadania prozą, kilka znanych z *Harapa* utworów humorystycznych wydawcy i anegdoty, nadto 13 rysunków zabawnych ołówka J. Kruszewskiego, Ichnowskiego i anonyma. Lubo

*) Stawiając Sienkiewicza na równi z Homerem i Mickiewiczem. Przyp. koresp.

Warszawa obfituje w podobnego rodzaju literaturę, mimo to sądzimy, że nieobojętnym byłby i dla niej ten egzotyczny owoc, na krakowskim dojrzały bruku.

W. Radkowski.

TEATR.

Szkoła kobiet, komedya w 5 aktach Mollère'a przekład Kazimierza Zalewskiego. — *Drugi raz* obrazek dramatyczny Br. Grabowskiego. — *W starym piecu dyabeł pali*, komedya w 1 akcie Romana Nowiny.

Jestem urodzonym wrogiem sztywnych formułek w sztuce i narzucania jej pęt konwenansu, a słuchając komedyi Molière'a *Szkoła kobiet*, przeklinałem w duchu akademię francuską z jej trzema jednościami. O ile świetniej dziś wyglądałyby utwory tego genialnego komedyopisarza, gdyby nie potrzebował pętać się kajdanami szkolarstwa, gdyby mógł tworzyć tak samorodnie i swobodnie jak Shakespeare, uwolniony na szczęście od nieproszonej kontroli ciężko-uczonych korporacyj! Jakież to nieprzebrane skarby dowcipu, humoru, głębszej ironii mieszczą się w tej sztuce, jaką w niej zamknął poeta świetną znajomość natury niewieściej, jak zgłębił tajemnice egoizmu i ślepej namiętności! Zwłaszcza przy początku tego utworu, słusznie zaliczanego do arcydzieł wielkiego pisarza, śmiałem się razem z publicznością, tym śmiechem pełnym, szczerym z głębi duszy płynącym, a jednak wywołanym nie przez bezmyślną kpinę. Później wrażenie sztuki nieco słabnie, gdyż poeta wkracza w poważniejszą sferę swego przedmiotu i z konsekwencyą rozprowadza szeroko naczelną sytuacyę, w której zamknął zarazem trafny pogląd na kobiecą naturę, jak i zdrową filozofię życia.

Podstarzały samolub Arnolf, wielki sceptyk w słowach i niby znawca kobiet, chcąc pozyskać żonę wedle pożądanego modelu, wychowuje młodą sierotę, starając się ją tak ogłupić, aby nie myślała o niczem, samodzielnie tylko przyjmowała za dobrą monetę wszystko, co on jej powie i była machiną bezmyślną, przejętą zasadami małżeńskiego katechizmu. Ale głos natury i prawdy niweczy wszystkie sztuczne rachuby starego samoluba, który sam sobie tylko wstyd i zawód gotuje. Choć pasiona do przesytu fałszywym i sztucznym morałem, Agnieszka idzie za popędem serca i garnie się do Oronta, którego gorące słowo i młodzieńcza werwa bardziej na nią działają, aniżeli wszystkie kazania podstarzałego opiekuna. Treść ta przeprowadzona przez najrozmaitsze epizody, z których najruchliwsze autor zostawia za kulisami, opowiadając je tylko według maniery klasycznej. Akcya rozwiązuje się także przez interwencyę cudownego trafu wedle starej recepty. To zakończenie sztuki jest dla nas szczególnie rażącym anachronizmem, wygląda na dziecinną okrasę tego głębokiego dzieła, w którem miejscami tkwią zasady głębszego sceptycyzmu wobec dzisiejszych pojęć etycznych. Jaka to pyszna uwaga Arnolfa, że miłość sama bywa grzeszną i dopiero małżeństwo grzech w zasługę zmienia! W tych słowach tkwi subtelna ironia, która szydzi z konwencyonalnej etyki, z owego odgraniczenia baryerą miłości godziwej i niegodziwej, z nadawania charakteru występnego lub cnotliwego objawom jednych skłonności i zasadniczych przyrodzonych popędów człowieka.

Nie tu miejsce wydobywać na jaw całą głębokość treści psychicznej, tkwiącej w dziele Moliere'a, i tę siłę skupienia, która twórcę zatrzymuje wyłącznie na jednej stronie przedmiotu, rozprowadzonej szeroko.

Pod względem tonu i kształtu artystycznego komedya ta mapozór sarkastyczny, ale podług mnie najgodniejszym uwagi jej przymiotem z dzisiejszego punktu widzenia, jest głęboko odczute przeciwieństwo naturalnych dążeń człowieka w starciu z uprawnionym fałszem i przemocą obyczaju, ten bunt żywej, pełnej sił młodości przeciwko sztywnej martwocie. Cały zapas sofizmatów i peror Arnolfa był bezużytecznym wobec prostej szczerości Agnieszki, która nie wierząc frazesom i perorom, szła za głosem własnego serca i budzących się pragnień tajemnych młodości i życia.

W tej sztuce Molière zdaje się mówić: zdrowej natury człowieczej nie ogłupi żaden fałsz wsparty siłą egoizmu, nie wynaturzy żadne sztuczne mędrkowanie. Dlatego głębokiego sceptycyzmu nie bez zasady krytycy francuscy uważają Molière'a jako jednego z pierwszych siewców tych ziarn, które potem wydały plon rewolucyjnego protestu przeciw wszelkim uświęconym powagom.

Literaturze naszej przyswoił to niepospolite dzieło bardzo szczęśliwie p. Kazimierz Zalewski, który zrozumiał ton oryginału, i, nie siląc się na sztuczność formy wiersza, nadał mu werwę i wielką potoczystość. Może brakowało mu tej jędrności, jaką np. ma Zabłocki w tłomaczeniu komicznych scen *Amfitryona*, jednakże przekład jego płynie swobodnie i gładko, niema zupełnie śladów mozolnej dłubaniny.

Główną rolę sztuki p. Rychter grał bardzo dobrze, trafiając w ton archaistyczny, trzymając się w mierze i na granicy między komizmem a dramatycznością, biorąc swą postać poważnie i konsekwetnie od początku do końca. Obok mistrzowsko zagranego skąpca, jestto najlepsza Molierowska rola tego weterana sztuki aktorskiej, który słusznie uszczknął niejeden laurowy listek. Śliczną, pełną prostoty Agnieszką była panna Czaki, której przydał się tutaj ważny przymiot talentu — szczerość, poparta nader wdzięcznem ujęciem i równem przeprowadzeniem postaci. W rolkach gapiowatych służących pani Leszczyńska oraz p. Jaśkiewicz trafili szczęśliwie na drogę właściwą, a całość wykonania, z małymi wyjątkami, zalecała się harmonią, niespotykaną dotąd w sztukach tego pokroju.

O dramaciku p. Grabowskiego *Drugi raz*, premiowanym 2-gą nagrodą na konkursie Tow. Dobroczynności, pisaliśmy już, gdy ukazał się w książce, gdzie lepiej mu było, aniżeli na scenie Teatru Rozmaitości. Utwór to nacechowany dążnością szlachetną, cnotliwy i moralizujący — ale na scenie niedość żywotny, ani prawdziwy. Zetknięcie się dowcipnego hulaki, owdowiałego birbanta, ze swem naturalnem dzieckiem i jego opiekunką niekoniecznie jeszcze tak szybko prowadzić może do małżeństwa, do tego, aby „drugi raz" próbował szczęścia człowiek, który po utraconej rodzinie nie mógł się rozstać z żałobnemi wspomnieniami. Nagłe i niespodziewane sklejenie małżeństwa między ludźmi, którzy się widzą po raz pierwszy, jest zbyt widocznie pomysłem teatralnym, a całość nosi na sobie piętno zbytniego moralizowania. Przyznać trzeba jednak autorowi, że okazał wiele szlachetności w kreśleniu figur, nadając całości pewien ton uczuciowy, dobrze wyrażony grą p. Rakiewiczowej i p. Ładnowskiego. Jestto zasługą sztuki, że odzywa się w imię głębiej pojętej moralności, uznaje prawo do rodzicielskiej opieki tych istot, które na świat przychodzą z piętnem nieprawości na czole. Ofiara kawalerskich błędów zyskuje tu nową rodzinę, dzięki właśnie wysoko rozwiniętemu poczuciu obowiązków, lekceważonych często w zwykłej życia praktyce. Równocześnie wszakże autor okazał się trochę moralistą starej daty i potrącił o ideę doraźnej kary za błędy żywota, która nie da się pogodzić z głębszem pojmowaniem etycznej odpowiedzialności w stosunkach życiowych.

O pierwszej próbie p. Nowiny *W starym piecu dyabeł pali* nie będę wiele mówił, w tem przekonaniu, że lakonizm wcale autorowi nie zaszkodzi. Komedyjka ta opowiada spóźnione miłostki podstarzałego wujaszka, który wystąpiwszy z razu energicznie w roli konkurenta, w końcu zmienia front, aby zostać orędownikiem sercowej sprawy swego siostrzeńca. Oprócz jednej zręcznej scenki i paru konceptów pod koniec sztuki, noszących piętno pewnych zdolności, całość jest rymowaną gawędką w przestarzałym już stylu Chęcińskiego, bez jego werwy i subtelności komicznej. Majowy zapach dyletantyzmu zbyt zalatuje od tej roboty, abym się miał nad nią bliżej zastanawiać. Boję się tylko, czy po jej wystawieniu nie wyjrzą na świat dzienny liczne arcydzieła „pociech rodziny," chwalone przez panów profesorów. Artyści nie mieli co do roboty w tej sztuce, której autor ukazał parę drobniutkich błysków zdolności, ale na scenę wystąpił z próbą, która powinna zostać w tece młodzieńczych brulionów. Za wcześnie, kwiatku, za wcześnie!

S. K.

LIBERUM VETO.

Porządne katechizmy i pierwsza wyprawa zaćmiona przez projekt dra Fritschego. — Prosty sposób zbogacenia literatury angielskiej i rozsławienia naszej. — Szczęście, że Mickiewicz nie wstanie z grobu. — Jak i kto może wesprzeć miss Biggs. — Nasza operacya polityczna w Afryce. — Drżyj Bismarku! — Za przykładem p. Hantkego. — Kwesta na studentów. — Maclusiowa czy Kaśka. — Francuzi północy.

Gdy kiedyś na zebraniu Kasy Mianowskiego pewien profesor uniwersytetu usilnie zalecał jej wydanie „porządnego katechizmu," gdy potem zbierano składki na „pierwszą wyprawę do Afryki," protestowałem przeciwko obu tym zamiarom, ale w duszy rzekłem sobie z rzetelną pociechą: no, przynajmniej jesteśmy już na szczycie fiksacyi i wyżej się nie wzniesiemy. Tymczasem zaledwie upłynęło lat kilka, aż tu dr. Fritsche rzuca za pośrednictwem *Kuryera warszawskiego* pomysł, przechodzący swą... śmiałością wszystkie „porządne katechizmy," wszystkie wyprawy polskie do Afryki. Ni mniej, ni więcej tylko idzie o to: W Londynie mieszka miss Biggs, która nauczyła się po polsku i przełożyła na język angielski *Konrada Walenroda*. Księgarz jednak „nieszczególny interes na tym nakładzie zrobił, pokup bowiem był niewielki." Skutkiem tego miss Biggs, chociaż przetłomaczyła już *Grażynę* i *Pana Tadeusza*, nie może znaleźć wydawcy. Ponieważ tedy księgarze angielscy nie chcą drukować a publiczność kupować przekładów nawet Mickiewicza, dr. Fritsche radzi: 1) „iżby nakładcy pism naszych oraz nowych utworów beletrystyki polskiej przesyłać je chcieli p. Biggs" i 2)—tu kulminacyjny punkt wywodu — ażebyśmy jej pomogli pieniężnie. W jaki sposób? „Czy drogą dobrowolnych składek — cytuję dosłownie—czy z funduszów Kasy Mianowskiego, czy organizując odczyty etc.—pozostawiam to do decyzyi osób kompetentniejszych ode mnie." Wielkie myśli jakiejbądź wartości mają to do siebie, że nas bodaj na chwilę ogłuszają, oślepiają, kontuzyują. Wyznaję, że gdym przeczytał wezwanie do Kasy Mianowskiego, odczytów i składek publicznych na korzyść p. Biggs, zdrętwiałem jak uderzony gromem, a przecież hartowałem się w ogniu „pierwszej wyprawy polskiej do Afryki." Istotnie, raczcie tylko rozważyć; my, którzy nie mogliśmy wyżywić Redlicha, my, którzy ledwie zdołamy podtrzymać jeden tom *Pamiętnika fizyograficznego* na rok, my, którzy nie mamy środ-

ków na wydawanie cennej *Biblioteki międzynarodowej*, my, którzy nie posiadamy naukowych podręczników psychologii, historyi nowożytnej, geografii itd., my, którzy przez lat kilka zdobyliśmy się na cztery przytułki nocne, my, którzy musimy robotnikom, pracy pozbawionym, dawać bezpłatne objady—my powinniśmy czerpać z Kasy Mianowskiego, zbierać składki publiczne i urządzać odczyty po to, ażeby miss Biggs miała za co drukować przekłady angielskie poetów i beletrystów polskich dla „uszczęśliwienia" jej i zrobienia przyjemności szczupłemu kółku jej czytelników! Nie, to już chyba szczyt! Czego? „Pozostawiam to do decyzyi osób kompetentnych." Zauważę tylko jeszcze, że powyższa propozycya ma równej miary stronę moralną, na którą, niestety, w podobnych wypadkach bywamy mało wrażliwi. Że lichy koncertant rozdaje darmo bilety, ażeby mieć słuchaczów, że lichy autor rozsyła znajomym swe prace, ażeby mieć czytelników — to jeszcze usprawiedliwić można; ale żeby jakiś naród robił podobne prezenty innemu ze swych literackich skarbów, ażeby płacił mu za czytanie swych arcydzieł — to już chyba coś niższego, niż ofiara, to brak godności. Gdyby Mickiewicz wstał z grobu i usłyszał, że my własnym kosztem chcemy wydawać jego poematy dla anglików, wskrzesiłby Byrona i zapytał go, czy mu lord angielski płacił za przekłady. Już jeśli kto pragnie koniecznie umieszczać w piśmiennictwach obcych reklamy dla własnego, niech sobie na ten cel wybierze cokolwiek, aby nie przedmioty naszej narodowej dumy, aby nie dzieła Mickiewicza.

Ale dr. Fritsche jest tak rozczulony wspaniałomyślnością miss Biggs, że niepodobna go pozostawić bez pewnego dla niej poparcia. Jakoż nadarza się wyborna ku temu sposobność. *Kuryer warszawski* zamieścił list p. Antonio Borges Silva, dyrektora szkoły w Fernando Po, przesyłającego nam „w najwyższym stopniu zajmującą" wiadomość, że p. Rogoziński, uprzedzając zabór niemiecki w Afryce, namówił kilka plemion do przyjęcia protektoratu Anglii. Wielka ta operacya odbyła się w sposób następujący. Dr. Nachtigall w imieniu rządu niemieckiego postanowił zająć również góry kameruńskie, w których „położone są posiadłości stacyi p. Rogozińskiego." Ale zamiary te „zostały zniweczone i sparaliżowane" (a co Bismarku?). Mianowicie nasz podróżnik zniósł się z przedstawicielem Anglii, namówił go do spiesznego działania a jednocześnie wpłynął na naczelników plemion i porobił z nimi układy. Plan powiódł się świetnie, i dzięki nam—proszę nie zapominać—dzięki nam anglicy zdobyli płat ziemi w Afryce.

Ile są warte góry i wybrzeża między Wiktoryą i Kolobarem — nie wiem, ale przypuszczam, że prawny procent od ich ceny wystarczyłby na pokrycie kosztów wydania tłomaczeń p. Biggs. Niech więc p. Rogoziński upomni się o należną nam prowincyę i niech ją przeznaczy na ten ołtarz, na którym naród nasz ofiary swojej złożyć nie może. Tym sposobem i miss Biggs będzie sytą i Kasa Mianowskiego całą, a w dodatku uczujemy dumę, żeśmy obdarzyli anglików podwójnie: i ziemią w Afryce i arcydziełami naszej literatury w Europie.

A pieniądze schowamy dla ubogich, o których za przykładem p. Hantkego zaczęli myśleć inni przemysłowcy, rozdający bezpłatne obiady robotnikom bez zajęcia. Zastój w przemyśle rośnie, zima obiecuje być srogą, prawdopodobnie zatem miłosierdzie publiczne będzie nieraz wzywane o pomoc, zwłaszcza że najbogatsi fabrykanci nasi nie zdecydowali się jeszcze, czy wstąpić w ślady p. Hantkego, czy też nie. Mają oni może nawet żal do niego — i słuszny. Zawiązywać kiesę, gdy inny ją otwiera—nieprzyjemnie.

Nie na rachunek przyszłej, ale dla obecnej biedy wyciągam rękę do was czytelnicy, o ile los wam pozwolił innych wspierać a o opłaceniu kosztów wejścia *Pana Tadeusza* do literatury angielskiej nie myślicie. Mimo obfitego plonu z koncertu, znajdują się w uniwersytecie warszawskim studenci, niemający środków nawet na pokrycie wpisu. Niedostatek w roku obecnym śród młodzieży wzrósł skutkiem ogólnego zubożenia, które uszczupliło korepetycye, będące głównem źródłem studenckich dochodów. Zaoszczędzamy się we wszystkich kierunkach, więc i w tym. Niejeden ojciec pozbawia syna pomocy naukowej, bo kilka lub kilkanaście rubli miesięcznie wydatku zbyt przeciąża budżet domowy. Do tych ograniczeń własnowolnych przybyły zewnętrzne, które obcięły znacznie pole zarobku dla studentów. Uniwersytet warszawski jest w stypendya i zapomogi dość bogaty, nie wszyscy jednak czerpią z tego źródła i niezawsze czerpią najbiedniejsi. Ubóstwo zwykle bywa skromnem, nie krzyczy, nie toruje sobie drogi łokciami i często pozostaje na uboczu niedostrzeżone, nieobdzielone lub odepchnięte przez zuchwałą spekulacyę. Dla niego to kwestujemy.

Przypuszczam zaś, że prośby naszej nie zagłuszy niezmiernie ważny spór, rozdzielający obecnie Warszawę na stronnictwa a toczony o to: jak ochrzcić słonia w zwierzyńcu, nazywanego dotąd „Maciusiem," gdy się okazało, że on należy do rodzaju żeńskiego? Jedni głosują za „Kaśką," inni za „Maciusiową"—a pomimo licznych artykułów w tym przedmiocie, kwestya nie została jeszcze do dna wyczerpaną. Spodziewam się, że jej nie załatwimy lekkomyślnie, lecz z całą roztropnością i rozwagą. Niechże przynajmniej w tym wypadku nikt nie powie, że nas nigdy nie opuszcza płochość, że byle głupstwem można odciągnąć naszą uwagę od rzeczy poważnych, że mamy coś w swej krwi, co nas czyni „francuzami północy" w... geografii i zamiłowaniu do *cri-cri*.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Przyszła kréska na Matyska. — Wywóz żółci.—Transport p. W. Przyborowskiego. — Ojciec i marnotrawny syn. — Żydzi i kobiety w szufladzie. — Brak najpotrzebniejszego stronnictwa. — O czem dowiedziano się w Kielcach. — Lód ogrzewający serca w Płocku. — Ślub arystokracyi z demokracyą na ślizgawce.—Jeszcze millonowy spadek. — Figi z makiem.

Przyszła kréska na Matyska, a przyjść musiała, bo Matysków bez kresek jest coraz mniej, a nawet nie wiem, czy już wogóle dziś są. Wyłowił je bowiem ten specyalny —jakby go nazwać najdelikatniej?,. al.. pesymizm, który słucha, patrzy, węszy i... rzuca się.

Jak się dowiadujemy z *Gazety polskiej*, czujny *Wilensk. Wiestnik* z kolei wziął pod.. mikroskop niewinną bakteryę, zwaną „marszałkiem szlachty." Niewinną—tak sądzili dotychczasowi patologowie. Tymczasem nowy badacz wykazuje, że: 1) jeżeli marszałek szlachty jest katolikiem, urzędnicy jego kancelaryi bywają również katolikami; 2) zwykle nie okazuje on dostatecznej prawomyślności, gdyż chociaż nie uczestniczy w sprawach wątpliwej natury, za mało bywa czynnym w sposób pożądany. Ponieważ zaś są to ludzie bardzo wpływowi — jako członkowie wielu komisyj i komitetów — a dotąd mianowani na czas nieograniczony, należałoby ich często „odświeżać."

Taka jest ostatnia kréska. Czy ona będzie policzoną do ortografii politycznej, czy zmazaną—rozumie się—nie wiem.

W obecnej dobie zastoju handlowego godzi się zwrócić uwagę na pewną gałąź wywozu, która od lat kilku rozwinęła się w Warszawie bardzo pięknie i która na przesileniach ekonomicznych wcale nie cierpi. Jak wiadomo, wyrabia się u nas z wątrób literackich dużo żółci, która chociaż dość obficie jest zużywaną na miejscu, pozostaje jednak w nadmiarze. Zwłaszcza pośledniejsze jej gatunki, z wątróbek małych lub chorowitych, nie znajdują dostatecznego odbytu w Warszawie. Nadmiar ten oddawna zaczął się wylewać na prowincyę, głównie zaś do Kielc i Kalisza, gdzie otworzył sobie pomyślne rynki, którymi zawładnęły szczególnie przetwory p. Niemojowskiego. Świeżo znów sprzedawał w Kielcach swój wyrób p. W. Przyborowski, powieściopisarz małego kalibru, hospitant—jak się mówi w języku parlamentarnym—najrozmaitszych stronnictw dziennikarskich, począwszy od skrajnej lewicy aż do katolickiego centrum — redaktor znany z kilku nieszczęśliwych debiutów, słowem literat, który ma wiele powodów do niezadowolenia ze świata. P. Przyborowski postanowił wytłomaczyć kielczanom: 1) co to jest najnowsza powieść polska i 2) co to jest kobieta. Kobiety i żydzi należą u nas do tych błogosławionych, niemal cudotwórczych tematów, o których każdy coś powiedzieć lub napisać może i do których ucieka się wszelaki literat, uczuwający pustki w głowie. Pewien ojciec miał marnotrawnego syna, któremu nie chciał dawać większych zasiłków, ale zostawiał mu codzień w otwartej szufladce na ostatnią biedę dwa grosze. Syn datkiem tym gardził, ale w potrzebie zabierał go i wydawał. Jak ów ojciec, podobnie postępuje natura z wielu swymi synami, którym na biedę literacką pozostawia w niezamkniętej szufladce dwa grosze: kobietę i żyda. Za pierwszy z tych groszów p. Przyborowski bawił się w Kielcach. Ale sprawił on sobie drugą przyjemność kosztem nowszych powieściopisarzów polskich. Myśl rozbudzania życia umysłowego na prowincyi za pośrednictwem odczytów jest bardzo chwalebną, wątpimy wszakże, czy ona osiągnie swój cel przez cząstkową rozsprzedaż żółci. Posiadamy już najrozmaitsze stronnictwa naukowe i społeczne: idealistów, pozytywistów, konserwatystów, protekcyonistów itd., ale nam brak *objektywistów*, t. j. ludzi, którzyby naprzód czytelnikom przedstawili jakąś sprawę całkiem przedmiotowo i pozwolili im obok sądu narzuconego, cudzego, wytworzyć sobie własny. Pomimo tak wielkiego rozrostu prasy, ogół nasz w najważniejszych kwestyach jest dziwnie ciemny, albo raczej naładowany wyrokami i uprzedzeniami pism, które czyta. Co to jest materyalizm, *Bitwa pod Grunwaldem*, stańczykowstwo, *Dom otwarty* itd. on zwykle nie wie, pamięta jedynie, że to lub owo trzeba ganić lub chwalić, bo tak polecono w prenumerowanem piśmie. Jednym z najwspanialszych widoków, jakie przedstawia prasa zagraniczna, zwłaszcza niemiecka, jest ścisły objektywizm, który nieraz daje czytelnikowi możność rozejścia się w sądzie z krytykiem: ty panie powiadasz tak, a ja wnioskuję inaczej. U nas czytelnik pozostaje w bezwzględnej zawisłości od sprawozdawcy, który zakrywa przed nim rzecz lub ukazuje tylko pewne jej strony tendencyjnie. Naturalnie owa tendencyjność ma się w stosunku prostym do wymagań wątroby, a wątrób u nas w literaturze tyle, że przy nich mózgi i serca ledwie do głosu przyjść mogą. Nic też dziwnego, że p. Przyborowski musiał pojechać aż do Kielc dla sprzedania swej żółci. Jak ona tam smakowała, świadczy sprawozdanie naszego korespondenta. „Zupełnie pomijam synopizma, przyłożone przez „prelegenta" naszej kobiecie, które piec chciały, a łechtały z bezmierną naiwnością; jej wyskok charakterystyczny utkwił mi w pamięci z odczytu p. Przyborowskiego w sali warsz.

Towarzystwa Dobroczynności, gdzie on wyrzekł te pamiętne słowa: więcej warta brodawka na nosie nowoczesnego, realistycznego portretu, niż najznakomitszy obraz Rafaela. Wprawdzie szan. estetyk wyprzągł się widocznie z rydwanu sławy wszelkiego reformatorstwa, ale stary nałóg do zuchwałych twierdzeń mu pozostał. Drugi odczyt był żółciowym liryzmem, który nas przekonał tylko o tem, że w piersi p. Przyborowskiego nazbierało się pretensyj wszelakich bardzo dużo i że gdzieś, po prostu ze względów zdrowia, upływ dla nich znaleść musiał. Miasto nasze byłoby bardzo rade z zapewnienia mu tej ulgi, gdyby nie stawiało wyżej swoich potrzeb umysłowych, niż potrzeby jednostki. Co p. Przyborowski o najnowszem powieściopisarstwie polskiem mniema—istotnie wiemy, ale czem jest to powieściopisarstwo — nie wiemy a bardzo byśmy chcieli wiedzieć."

Chociaż ślizgawka w literaturze udaje się u nas wybornie nawet latem, trudno dziwić się komukolwiek i gdziekolwiek, że teraz przypasuje sobie łyżwy: jest to rozrywka tania, ruchliwa i znowu tak bardzo, zwłaszcza w krytyce, rozbiciem głowy nie grozi. Tegoroczna zima, zdaje się, będzie pod tym względem szczególnie łaskawą, a nawet może lodem rozgrzeje i stopi te serca, które dotąd opierały się najsilniejszym ogniom. Taką ma nadzieję Płock, który dotąd nie mógł połączyć swych „kół i kółeczek," a obecnie spodziewa się na ślizgawce osiągnąć zupełne porozumienie. I znowu czarodziejami, łączącymi wrogie żywioły, będą „wioślarze." Jaki Bóg dobry, że nam ich dał! Nietylko uczą nas pływać, ślizgać się, fechtować, tańczyć (o tanim kredycie również myślą), ale—zacni!—żenią arystokracyę z demokracyą. Na prowincyi zaś arystokracyę składają nie rodowe folbluty, ale każda pięciorublówka jest arystokratką wobec trzyrublówki, każda 10 ranga wobec 12. Tam pani rejentowa cieniuje swój stosunek do burmistrzowej i kasyerowej delikatniej, niż księżna Ida względem hrabiny Zenobii. Ukłony, słówka, tytuły, wizyty ważą się na miligramy. Ani kuszę się o łamanie tej tradycyi i pozostawiam reformę wioślarzom. Bodajby byli szczęśliwi i dokonali tego, ażeby pani rejentowa nie czekała przy spotkaniu pierwszego ukłonu od pisarzowej! Niestety, te fatałaszki są śmieszne, ale mocne, mocniejsze często, niż rozum, potrzeba solidarności, ba nawet niż ta miłość narodu, na której cześć tyle wyśpiewaliśmy piosnek i którą „głęboko chowamy w sercu." Chyba bardzo głęboko!

Zwycięstwo... narodowe zwycięstwo! Mularz z Lubartowa może wylegitymuje się jako spadkobierca milionów w Ameryce. Pewien ksiądz doniósł w *Wieku*, że jeśli otrzyma na kościół odpowiednią ofiarę, powie, gdzie znaleść można metrykę Rozalii Rozwadowskiej. Naturalnie przyszły posiadacz 800 milionów rs.—nie pomyliłem się—800 milionów rs. jakiegoś tam tysiączka na kościół nie poskąpi; radzę mu jednak, ażeby zobowiązał się do daru warunkowym rewersem: jeśli dostanę, to dam. Bo jakkolwiek spadki, zwłaszcza amerykańskie, wywierają wielki wpływ na nasze ożywienie, to jednak zbyt często one zawodzą, ażeby ostrożność w upominaniu się o nie wadzić mogła. Nadto szczęśliwemu mularzowi z Lubartowa mam chęć zrobić jedną uwagę: czy pan dobrodziej sądzisz, że jest na świecie państwo, któreby wypuściło ze swych rąk 800 milonów rs., jeżeli nastręcza się jakakolwiek wątpliwość co do spadkobierców? W każdym razie amerykanie do tak wzniosłej wspaniałomyślności uzdolnień nie mają, i dlatego muruj pan lepiej domy panie Rozwadowski i daj pokój sukcesyi amerykańskiej, bo ona cię najprawdopodobniej obedrze ze wszystkich zasobów i w rezultacie da figę z makiem.

Figę taką pokazał według *Kuryera warsz.* jeden z ziemian niemcowi. Musi ona wszakże być u nas rzadką, skoro uczczoną została publicznie. Więc dajmy jej szerszy rozgłos. „Do p. M., właściciela obszernych zagajników w siedleckiem, zgłosił się ajent niemiecki z propozycyą sprzedaży znacznej liczby młodych sosen. Żądanie swoje motywował tem, iż niemcy potrzebując konserwować swoje lasy, nie pozwalają wycinać młodych drzewek, pragną więc u nas zaopatrywać się w drzewka na Boże Narodzenie. P. M., uznając dowcip tego pomysłu, nie przyjął propozycyi. Byłoby to zbawiennym objawem rozsądku, gdyby spekulant wszędzie się spotkał z podobną odmową." Jakże ci niemcy z nas drwią, nawet wtedy, gdy drzewo kupują!

A. C.

Piotrków. Ustawa taniej kuchni została zatwierdzoną.

Petersburg. Zagraniczni bankierowie przybywają tu coraz liczniej w sprawie zamierzonej operacyi finansowej. Jaką ona będzie, dziś rzec trudno; tymczasem na owym zjeździe korzysta rubel, który dosięgnął kursu 214 marek za 100 rubli.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 4 grudnia.

Mowy ks. Bismarka w sejmie niemieckim usuwają zwykle dla prasy europejskiej na drugi plan każdą kwestyę drobną — a takie tylko obecnie składają porządek dzienny. O tem wystąpieniu mówimy na innej stronicy dzisiejszego numeru. W podobny sposób ocenia je angielski *Times*:

„Bismark rozumuje tak: Niech sobie parlament przyjmuje uchwały, a cesarz będzie sobie kładł na tych uchwałach *veto*. Posłowie mogą robić, co im się podoba. Drwi on z gróźb parlamentarnego bezrobocia, bo naród wprzód się znuży i zużyje, niż on. Dowody, oparte na duchu i istocie konstytucyjnego państwa, na charakterze cesarskiego *veto*, które jest niczem innem, tylko środkiem zapewnienia rozumnej zwłoki, nie mają przystępu do jego umysłu. Ks. Bismarka dość częste rozprawy o granicach działalności parlamentu w krajach, mających szczęście posiadać cesarza i takiego jak on cesarskiego kanclerza, są arcyciekawym przykładem rozmaitości politycznych rezultatów, wynikających z obrabiania wolnych parlamentów przez rozmaitych ministrów. Ale zaprawdę z wyjątkiem Niemiec, niema kraju w świecie, w którymby mąż stanu mógł przemawiać tak do parlamentu, jak książę Bismark przemawia do sejmów niemieckich, bez wywołania strasznego wybuchu. Chłoszcze je i smaga językiem, a one zamiast się burzyć, bawią się tem, jak się bawią zagraniczni czytelnicy, przeglądając ich rozprawy. Jakim sposobem mógł on przypuszczać, że tak będzie, jakim sposobem mogli oni to wszystko znieść, wytłomaczyć trudno; chyba że zawsze przypominać sobie będziemy, że on jest tem, czem był, ale że i oni także, jak to im otwarcie powiedział, są tem. czem byli."

Ostatnie słowa możnaby zastosować poniekąd do angielskiej Izby lordów, która pomimo naciera z dołu chce pozostać, czem była. W Izbie gmin ma być znowu wniesiony bil, zapewniający prawo głosowania kobietom niezamożnym.

Jak widzimy, szturm do twierdzy lordów ponawia się, chociaż pierwszy atak w sprawie reformy wyborczej został odparty.

Senat francuski podobnemu ulega losowi. I on również odparł zamach na swe prawa, ale Izba deputowanych znowu przyjęła uchwałę. według której senatorowie mają wychodzić z głosowania powszechnego. Dwa te starcia — w Anglii i Francyi — niewątpliwie zakończą się zwycięstwem demokratyzmu.

Nową, istotnie nową kwestyą polityczną jest nieujawniony dotąd należycie zatarg między Rosyą i Turcyą w sprawie wolnego przepływu okrętów przez Dardanele. Jak wiadomo, droga ta jest otwartą tylko dla statków handlowych; otóż gdy Rosya użyła jej nietylko dla przewożenia więźniów, ale i rekrutów do Azyi, Anglia uczuła niemiły dreszcz, który odbił się w krzykach lub komentarzach prasy. Spór ten wszakże w przebiegu swoim objawia dość umiarkowaną temperaturę.

Paryż. Żona radykalnego posła Huguesa strzeliła kilkakrotnie z rewolweru w przedsionku sądowym do niejakiego Morina, który rzucił na nią potwarz.

Kair. Proces kasy długu angielskiego z rządem został rozstrzygnięty na jej korzyść.

Berlin. Mimo poparcia, jakie ks. Bismark okazywał socyalistom przy wyborach, a nawet oświadczył, że zgodzi się na „trzeci tuzin" ich posłów, żądał przedłużenia prawa wyjątkowego przeciwko nowym-swym przyjaciołom. Ale i oni nie ufają jego protekcyi. Wódz socyalno-demokratów oświadczył na posiedzeniu sejmowem, że „wszystkie reformy kanclerza nie dały dotąd biedakom ani kawałka chleba, a zabrały mu go wiele." Małżeństwo z rozumu zatem nie udało się.

Wiedeń. Utrwala się pogłoska, że cesarz Franciszek ma się koronować jako król czeski.

GŁOSY PISM.

„Zbytek oświaty." Któż nie pamięta, jak przed kilku laty krzyknął jeden ze stańczyków galicyjskich: „Ratujcie, hiperprodukcya inteligencyi!.."

„Głos ten nie przebrzmiał bez echa—powiada *Gazeta polska* czerniowiecka. Od tego bowiem czasu w pewnych sferach galicyjskiego społeczeństwa zaczęło przeważać zapatrywanie, iż praca nad oświatą ludu przekracza już istotną potrzebę. O ile podobne zdanie jest słuszne i zasadne, udowadnia najlepiej najświeższy rocznik *Militär-statistisches Jahrbuch*. Dowiadujemy się z niego, że na 1000 rekrutów umie czytać i pisać: w Solnogrodzie 984. na Szląsku 961, w Czechach 947, w Austryi niższej 935, Tyrolu 928, Austryi wyższej 914, Styryi 731, Karyntyi 724, na Morawie 593, w Krainie 537, na Węgrzech 493, w Galicyi 178, na Bukowinie 137, w Dalmacyi 92.

W czasach, kiedy oświata stanowi kwestyę chleba, kwestyę życia człowieka — cyfry powyższe przejmują największą grozą i smutkiem, A jednak modni ludofile nasi, znudzeni widocznie nieustannem dopominaniem się nowych szkół, twierdzą, że dość już tej „belferady wiejskiej" i że ludowi więcej pomogą banki (zwłaszcza lwowskie! *Red.*), zakłady fabryczne, budowy kolei itd. Piękne to pomysły, bez wątpienia, ale zanim lud będzie umiał z nich korzystać, nauczcie go pierwej czytać i pisać, oświećcie jego umysł, by się mógł obronić wyzyskiwaczom i oszustom, co go systematycznie wywłaszczają z ojczystej ziemi.

Na maleńkiej Bukowinie naszej zrozumiano, iż przed bankami i fabrykami potrzeba szkół, szkół i jeszcze szkół. Toż od lat kilku praca w tym kierunku postępuje raźno, a jakkolwiek bardzo jeszcze wiele jest do zrobienia, to jednak przy

stałej ofiarności sejmu i staraniach gmin jest nadzieja lepszych czasów. W Galicyi przed laty kilku było tak samo. Niestety, po rakietach szlachetnego zapału powraca tam znowu apatya i bezczynność, torująca drogę wstecznictwu i ciemnocie. Na 1000 młodzieńców nauczono 178 czytać i już rozpaczają filantropowie sejmu galicyjskiego, że za wiele oświaty, że grozi hyperprodukcya.

Biedny ludu galicyjski!..“

Przebudzeni. Liczba czytelni rusińskich w Galicyi wynosi obecnie 360, na Bukowinie 12, a ciągle powstają nowe. Zaczęto je zakładać głównie po r. 1879, z większem ożywieniem od r. 1883. Oddziaływają one na lud w duchu rusko-ukraińskim, a witane są przez włościan przychylnie, jako rozsadniki oświaty, moralności i patryotyzmu. Chcąc dać przykład ich skutkowania, przytaczamy za *Batjkiwszczyną* przemówienie małomieszczanina Pruchnickiego na walnem zgromadzeniu członków czytelni w Komarnie.

„Rok zaledwie minął — mówił on — od założenia naszego towarzystwa — jeden rok, to czas dość krótki, ażeby zrobić wielki krok naprzód w oświacie, a jednak za ten jeden rok my tu w tej małej chałupie wieleśmy się dowiedzieli i nauczyli, a nawet materyalnie skorzystali. Dowiedzieliśmy się, *kim jesteśmy i po co żyjemy*, że nie jesteśmy czyjemiś tam popychadłami, lecz narodem, wielkim ruskim narodem. Nauczyliśmy się szanować swoją ojcowiznę, trzymać się rękami i nogami naszego ojczystego języka, naszych praw... Nie zasypiajmyż więc rozpoczętej sprawy, wpisujmy się liczniej do czytelni, chwytajmy każde słowo z gazet i książek, pracujmy i nadal szczerze nad oświatą nas samych, a wówczas, jak powiada nasz *batjko-kobzar*, „sława nasza ne wmre:“

„Ne polaże, a rozkaże,
Szczo dijałoś w świti:
Czyja prawda, czyja krywda
I czyji my dity...“

Skrucha czy koziołek? Organ partyi wolnomyślnych (postępowców) w Niemczech, *Berliner Tageblatt*, sławny swego czasu z popierania *kulturkampfu*, zwłaszcza w Poznańskiem, gorszy się teraz, że rząd związkowy nie przystępuje do wykonania uchwały parlamentu niemieckiego, znoszącej na wniosek Windhorsta ustawę o banicyi duchownych.

„Dla drugiej edycyi walki kulturnej — czytamy w wymienionym organie ku największemu zdumieniu naszemu — objawia się dzisiaj w narodzie mało skłonności, a wyjąwszy kilku nielicznych rycerzy kulturkampfu z powołania, nie znajdzie się po lewej stronie parlamentu nikt, ktoby raz jeszcze chciał iść na lep podobny. Były czasy, w których szczery może nawet skądinąd wyznawca liberalizmu dał się skusić do udzielenia księciu Bismarkowi choćby przemijającej tylko pomocy w walce z potęgą kościelną. Niejednego — *siebie nie wyjmujemy* — mogła istotnie obałamucić nazwa walki kulturnej. Dzisiaj jednak wiedzą wszyscy aż nadto dobrze, jak w praktyce nadużyto tego hasła i że w owej walce o zupełnie inne rzeczy chodziło, tylko nie o kulturę.“

Zdaje nam się, że z organu postępowych żydów niemieckich wieje jakoby szczerość. Jeżeli przypuszczenie nasze nie jest mylne, to w rozwinięciu nowego programu powinniby wolnomyślni zmienić również wrogie dotychczas względem poznańczyków stanowisko na więcej przychylne.

Baccillus polityczny. O nowej epidemii pisze *Wiener Allg. Zeitung*:

„Patologia polityczna winnaby się poważnie zająć zbadaniem *baccillusa*, który w szeregach politycznych osobistości tak straszliwe zrządza spustoszenia, aby raz przecie wynaleziono środek na wygubienie lub przynajmniej ograniczenie tej tak niebezpiecznej dla narodów i tak niszcząco oddziaływającej pleśni. Choroba wprawdzie nie jest świeżej daty, ale w najnowszych dopiero czasach przybrała charakter epidemii, która jest tem groźniejszą, że jej symptomaty nie zawsze dostrzedz łatwo. Zarażony w mowie będącym *baccillusem* zachowuje zdrowie fizyczne, które się może nawet polepsza, przyczem jednak charakter jego ulega gwałtownej zmianie.

Przebieg słabości jest szczególny. Nawiedzony nią uczuwa nagle pewnego dnia, że się jego polityczny sposób myślenia ulatnia zwolna; ideał, w który wczoraj wierzył, blednie coraz bardziej, aż w końcu znika całkowicie. Naraz widzi on świat w zupełnie innem świetle, pewien rodzaj znieczulenia na wrażenia barw ogarnia jego narząd wzroku, osobliwie jednak na widok koloru *czerwonego* w rozmaitych tegoż odcieniach, popada chory w kurcze, których gwałtowność stoi w stosunku prostym do sympatyi, jaką dla tej właśnie barwy żywił poprzednio. Również do mózgu chorobą tą dotkniętego człowieka znajduje mikroskopijny potworek drogę, gdyż w krótkim czasie zagnieździa się tamże *idee fixe*, zmuszająca chorego wierzyć, że on jeden tylko politycznem zdrowiem się cieszy, podczas, gdy cała reszta ludzkości cierpi na rozpaczliwe zapoznanie okoliczności i stosunków. Z zupełną utratą wszelkiego sposobu myślenia i zanikiem przekonań choroba dochodzi kresu.“

Ach, jakże temu *baccillusowi* u nas dobrze!..

Journal de St Petersb. nie zadowolił *St. Pet. Wiedomostiej* swą odpowiedzią na artykuł gazety papieskiej w sprawie deputacyi unitów. Owe nienasycone nami *Wiedomosti* tak piszą:

„Nie dziwi nas gotowość, z jaką nasz organ polityki zagranicznej ukłony zasyła Kuryi rzymskiej, przepraszając ją, że skutkiem milczenia Watykanu zmuszony był dać mu nieprzyjemną przestrogę. Ale stanowczo zadziwia nas śmiałość, z jaką gazeta rosyjska, chociaż w języku cudzoziemskim wydawana, pozwala sobie twierdzić, że gniewny chór głosów, który się rozległ w prasie rosyjskiej, a nawet zagranicznej, z powodu wypadku poselstwa polsko-unickiego do papieża, jest niczem więcej, tylko „intrygą polską.“

Śmiemy upewnić, że wydawnictwa rosyjskie i zagraniczne, oburzone na pątnictwo polityczne, jaśniejsze mają pojęcie o intrydze polskiej, w której interesach leżało przywrócenie książąt duchownych w Polsce, tak miłościwie aprobowane przez nasz organ stosunków międzynarodowych

Intryga polska, której nici były zawsze w ręku książąt duchownych, powinna się cieszyć z tego „pokoju“ między Kuryą a rządem rosyjskim, który zapewne uważa, jako zwycięztwo partyi polsko-katolickiej w odzyskaniu autonomii katolickiej. Intryga polska jest zainteresowaną w zachowaniu tego „pokoju,“ pod którego skrzydłami może reorganizować kadry swego *rżonda*; nie ma ona wyrachowania żadnego w wywoływaniu niezgody między Kuryą a rządem rosyjskim, gdyż waśń mogłaby sprowadzić utratę swobód, świeżo zdobytych. Intryga polska winna przeciwnie starać się do upadłego o usunięcie motywów do tej niezgody, zacierając i łagodząc każdy nieostrożny krok Kuryi.“

Jak widzimy — według *St. Pet Wied.*— „intryga polska“ jest to takie licho, które zaprowadza „zgodę“ i „pokój“ między rządem i papieżem. Gazeta więc pragnie teraz, ażeby owa rusałka siała niezgodę i niepokój. Nie dziwmy się temu dziwolągowi, bo wszakże i słońce, chociaż jasno świeci, wstępuje w znak barana, a zodyak *St. Pet. Wied.* nie może być przecie wyższym.

Kijewlanin nie stracił jeszcze nadziei co do polskiego „słowiaństwa.“

„Wbrew panującemu przekonaniu, poczytującemu polaków za „stracone dzieci“ słowiańskiej rodziny, słowianofilskie a nawet i panslawistyczne idee, naturalnie w specyficznych formach, znajdowały i znajdują zwolenników w społeczeństwie polskiem, lubo bardzo nielicznych i mało wpływowych — jak o tem można wnosić już z tego chociażby, że do wygłoszenia swoich przekonań polscy panslawiści nie znajdują miejsca w żadnem z licznych wydawnictw peryodycznych i muszą poprzestawać na wydawaniu oddzielnych książeczek i broszur.“

Nadzieję tę obudził w *Kijewlaninie* naprzód p. L. Prószyński, autor lichej książeczki: *Kilka słów o charakterze dziejowym słowian i ich posłannictwie*, oraz ktoś z Warszawy bezimiennym listem.

„Nie mamy, pisze dalej *Kijewlanin*, najmniejszego powodu powątpiewać o szczerości autora, który nie pisał do druku i pisał bezimiennie. Jeszcze bardziej utwierdza nas w tem analogia zasadniczego poglądu z niektóremi publicystynemi broszurami, a w tej liczbie i p. Prószyńskiego. Zapoznanie się z nią pokaże nam oznaki i właściwości polskiego panslawizmu, który w swojej specyficzności przedstawia bardzo dla nas interesujący odcień prądu polskiej myśli społecznej — choćby już tylko dla braku w niej uporczywej, *quand même* nieprzyjaźni dla Rosyi i wszystkiego, co rosyjskie.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ostrożność. Ministeryum finansów rozesłało okólnik, zabraniający służyć razem bliskim krewnym w urzędach skarbu powiatowych i gubernialnych.

Ministeryum oświecenia rozesłało do zwierzchności zakładów naukowych wszystkich okręgów naukowych cyrkularz, w których zaleca jak największą ścisłość w zbieraniu danych, dotyczących konduity uczniów i osobistych wiadomości o wychowańcach tychże zakładów, ażeby w wypadku potrzeby można było otrzymać jak najdokładniejsze objaśnienia w tym przedmiocie; ministeryum rozstrzyga również kwestyę ponownego przyjmowania wydalonych z powodu rozruchów studentów, którzy mogą być przyjmowani napowrót tylko na osobistą odpowiedzialność którego z profesorów lub urzędników policyi; wszelkie zaś ulgi i zapomogi otrzymywać mogą tylko studenci, niezamieszani nigdy do żadnych nieporządków i wogóle nieskazitelnego prowadzenia.

Zawieja śnieżna w d. 1 i 2 grudnia na ogromnej przestrzeni między morzem Baltyckiem a Czarnem zwaliła olbrzymie zaspy i zatamowała wszelkie drogi komunikacyi. Przez kilka dni ruch na kolejach naszych był wstrzymany. Wysłane i przybywające do Warszawy pociągi musiały się zatrzymywać w drodze, a dwa towarowe uległy spotkaniu i częściowemu rozbiciu za Brwinowem. Na liniach nadwiślańskiej i terespolskiej wypadków nie było, ale wszędzie bieg pociągów wstrzymano. Takież same doniesienia przybyły z Prus i Austryi.

Budowanie nowych domów w Warszawie, skutkiem ogólnego zastoju, ograniczyło się w roku zeszłym — jak donosi *Gaz. warsz.* — do bardzo niewielu przedsięwzięć, pomimo taniości materyału i robotnika.

Dla nadzoru nad ścisłem wykonywaniem programu nauk w zakładach średnich Królestwa, ma być—jak donosi prasa rosyjska — ustanowionych trzech inspektorów, czuwających w trzech odpowiednich okręgach.

Sale zarobkowe Staszica wkrótce już będą otwarte ze rogatkami wolskiemi. Odbywają się już ostateczne narady komitetu.

Bezpłatne posiłki, za przykładem p. Hantkego, zaczęli wydawać: F. Łapiński, pani Rotwand, W Kronenberg i inni.

Kasa Mianowskiego na miejsce zmarłego J. Natansona, wybrała do komitetu p. W. Kwietniewskiego, nauczyciela.

Wystawa szkiców malarskich została otwartą i przedstawia się dostatnio. Myśl to bardzo szczęśliwa, gdyż z jednej strony ułatwia artystom sprzedanie, a z drugiej ogółowi nabycie utworów tanich. Nie każdy miłośnik sztuki może kupić sobie obraz za setki lub tysiące rubli.

Pomnik dla Sarbiewskiego zbliża się ku urzeczywistnieniu. Komitet wybrał już z dziesięciu nadesłanych projekt najlepszy—p. J. Kryńskiego.

Akademia krakowska. Na posiedzeniu wydziału filologicznego z d. 22 z. m. czytał dr. Wład. Kruczkiewicz pracę swoja o życiu i pismach Pawła z Krosna, poety polsko-łacińskiego z XVI w.

Galiciana. *Kuryer lwowski* otrzymał list z tem krótkiem, ale straszliwie wymownem doniesiem: „Nauczy-

ciele w okręgu trembowelskim oczekują asygnacyi płacy od 3 miesięcy..."

Konsulat rosyjski dla Galicyi, istniejący dotychczas w Brodach, przeniesionym zostanie do Lwowa na podstawie umowy skierniewickiej.

Cholera w Paryżu wygasła.

Żałoba w Watykanie. Joachim Saraceni — imię jego przekazujemy potomności—kredencerz papieski i kawaler wielu orderów—umarł. Obsługiwał on pięciu papieży, którym—jak zapewniają organy Kuryi rzymskiej — umiał przyrządzać wyśmienite lody i niezrównaną czekoladę. Też same pisma notują także, że nieboszczyk nie odgrywał politycznej roli, natomiast mistrzem był nad mistrze w przyrządzaniu likworów i konfitur. Cześć pamięci zacnego patryoty i filantropa!

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. A. O. w Majdanówce. Numer wysłano. Jaki początek? Pierwszy zeszyt IV tomu jest.

P. A. Mich. w Moskwie. Numery ponownie wysłane. Listy Vogta wyczerpane, Brandesa tomów trzy (bez drugiego) rs. 5.

A. Om. Nie—a dlatego, że treść nikła, a forma słaba. Poezyi *zrobić* nie można.

P. X. X. Niech pan zechce jeszcze raz przejrzeć uważnie mój artykuł, a przekona się, że: 1) nie „usiłowałem" bynajmniej „obdarzyć żydów *wszelkimi* przymiotami," gdyż nie mówiłem o *żadnych;* 2) nie „dowodziłem, że solidarność żydów jest plotką antisemicką," ponieważ wyraźnie zaznaczyłem nietylko istnienie tej solidarności, lecz zarazem przyczyny jej powszechnego wyrobienia się wśród żydów; 3) nie twierdziłem, że „chrześcianie nie mogą wytworzyć konkurencyi z żydami przez *niezdolność,*" lecz skutkiem *braku przygotowania fachowego,* co nie ulega najmniejszej wątpliwości; 4) nie podawałem *wszystkich* oświeconych żydów za patryotów, lecz utrzymywałem, że istniejące w tym względzie *wyjątki* przeczą twierdzeniu antisemitów, jakoby izraelici przedstawiali żywioł absolutnie niepodatny dla tego rodzaju uczuć. Wszakże i pan musisz podzielać moje zdanie w tym względzie, skoro potępiasz „oszczerstwa i podszczuwania J." Na zarzut, że nie wspomniałem o wadach właściwych wyznawcom zakonu Mojżesza, odpowiedzieć mogę tylko tyle, iż nie pisałem wyczerpującego traktatu o żydach, ani o kwestyi żydowskiej, ponieważ *Prawda,* z którą się wyraźnie w tym względzie zsolidaryzowałem, niejednokrotnie już swoje poglądy na tę sprawę czytelnikom przedstawiała. Ja podjąłem tylko zadanie oświetlenia bredni i niegodziwości, głoszonych i popełnianych przez *Rolę.* To sprawiło, iż wydałem się panu jednostronnym. Do polemiki z temi zapatrywaniami pańskiemi, których nie podzielam, nie mam miejsca, a skutkiem ich bezimienności — i obowiązku. *W. W.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Ноября 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.